Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Wśród zatopu.

Skreślił

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

(Dokończenie).

Wnikając głębiej w to ptasie życie, które tętni na około, w ten stan wyjątkowy, w którym się to życie w czasie zatopu jesiennego przedstawia, doznajemy jakiegoś błogiego uczucia, na którego określenie nie będę się silił. Ta wielka zdolność fizyczna ptaka, ten zabroniony nam ruch przedziwny, w obec nadmiaru środków do życia, gdy przycichły już rodzinne troski i walki — wszystko to razem przesuwa przed oczyma naszemi obraz jakiegoś olimpijskiego spokoju i uosobionego szczęścia, nie mąconego żadną z tych zmór, które trapią w coraz to dotkliwszy sposób kulturną ludzkość. Tu, wśród jesiennego zalewu, w obec kontrastu naszej niedoli, jest chwila do powtórzenia z poetą: „Jakie szczęsne te bestye...“

Ile razy nadarzyła się taka chwila — a było ich dosyć w mem życiu nad brzegami Dniestru — tyle razy jakiś magnes pociągał mnie na rozlane wody. Czy tylko w łowieckim celu? Pierwsza myśl była niezawodnie taką; na widok życia w około, odzywały się drapieżne i poziome instynkta ludzkiej natury, lecz wnet pod wspaniałem wrażeniem tej sceneryi chłodły krwiochciwe zamiary, a duch, tonąc w tym ściśle z naszą istotą łączącym się świecie zjawisk, karmił się z zachwytem temi obrazami potężnego życia, przesuwającemi się wśród nieba i wody, daleko po za granicami kultury. Nie było tam instytucyj, które stwarza cywilizacya ludzka, nie było zakładów humanitarnych, domów ubogich, przytulisk dla starców i sierót, bo ich nie było potrzeba — ale zarazem nie było także wybrańców losu, nie było upośledzonych i uprzywilejowanych pod rządami tego przedziwnego prawa, jakiem się rządzi maszyna wszechświata.

Wśród oceanu wód widnieje maleńka smużka ziemi, resztki jakiegoś bardzo prymitywnego ogrodzenia i połowa budy z patyków i traw widnieje z wody — to mieszkanie człowieka, to letnia rezydencya mego pasterza trzód, a resztki ogrodzenia, to resztki koszary, gdzie jeszcze niedawno trzoda moich przeżuwaczy, nie dotknięta w tym roku wyjątkowo zarazą pyskowo-racicową, zażywała wczasów. Setki szczęk z lubością oddawały się tam zajęciu przeżuwania, przed budą zaś palił się całą noc ogień i przypiekały się tam rozmaite boże dary, płody i przysmaki pól i borów, a opodal nieco kwitła i dalsza moja nadzieja wśród tej idylli, narastała już pod kosę bujna otawa. Teraz wszystko się zmieniło. Mętne

żółte wody okrążają wszystko, długie ławice mułu grzebią wegetacyę, a łom korzeni, zielska, traw, rogozin, przetkany pianą i warstwami skorupiaków, rysuje u brzegów poziome obwodnice wylewu.

Na niezalanej smużce roi się od życia; w powietrzu najrozmaitsze słychać głosy, bo tam wszędzie tłok gatunków i odmian, długonogich, długodzióbych, krzyczących, świerczących a nawet śpiewających ptaków. Jest tam wszystko, czego tylko dusza zapragnąć może: i brodźce i czajki i kszyki, biegusy, bataliony, kaczki, a nawet szpaków czerń zwija się pośród chmur innego ptactwa. Jedne łażą po brzuch we wodzie, inne biegają w gorączkowym pospiechu po brzegu, te przylatują, tamte odlatują, a wszystko krzyczy, gwiżdże, kwili i śpiewa, szeleszczą i świszczą loty, a wszystko to łączy się w jakiś akord potężny, w jakąś dla ucha myśliwego niebiańsko-brzmiącą melodyę przyrody. I gdy anioł ciszy przeleci, gdy z niepojętych przyczyn wszystko na chwilkę zamilknie, to tylko jakaś przytłumiona głucha gwara, jak gdyby oddech tysięcy, dolatuje ucha.

Bez rusznicy, bez wielkich przyborów nadarza się tu sposobność wielkiej, chociaż nie licującej z dzisiejszemi pojęciami łowieckiej zdobyczy. Ongi praktykowano ten sposób łowów pospolicie, dziś łowiectwo takie, sprzeczne z zasadami nowożytnych ustaw, wykonuje już tylko wieśniak, u którego przechowały się tradycyjnie owe niezliczone sposoby ujęcia ptactwa, sposoby proste, lecz tem straszniejsze w swem działaniu, bo zastosowane do zwyczaju i gustu każdego gatunku, a więc dosięgające najprostszemi środkami mechaniki i najostrożniejszego ptaka.

W rzeczy samej, po tem, co tu widziałem, po strasznej mordowni, jaką oglądałem wskutek nastawiania sideł, prężyn, ponóż i t. p. piekielnych wymysłów w miejscach takich zbiorowisk, można dać wiarę niezrównanemu w swoim fachu szlachcicowi, autorowi „Myślistwa ptaszego", który mówi: „Gdy na dobrym losie siędziesz, możesz za sobą z kolasą kazać przyjechać, bo ich dostaniesz gdzie w dobrych miejscach na dwa potrzaski kilka kóp za dzień". (Wyd. Ant. Wagi, Warszawa 1842, str. 217).

Najlepsza broń nowożytna nie jest w stanie wyrządzić takiego wyłomu w ptactwie, jak owe samołapki, tem bardziej, że podejście takich ptasich zbiorowisk na strzał wskutek braku ochrony i skrytki jest rzeczą nadzwyczaj trudną i uciążliwą, a w najlepszym razie strzały do takich pomięszanych gromad, pomimo swej intratności i ciekawych częstokroć rezultatów, wcale do myśliwskich zaliczyć się nie mogą.

Długoletnia praktyka przekonała mnie, iż ofiarą takich strzałów pada po największej części ptactwo wędrowne, pochodzące gdzieś z jakichś odludnych zaułków północy, które, nie mając tam sposobności zapoznać się bliżej z człowiekiem, dziwnie jest podufałe, i dopiero po dłuższem prześladowaniu i powtarzającym się huku strzałów staje się płochliwsze.

Przyznaję się, iż chcąc przecież dojść do jakiejś na wodach zdobyczy niezwykłej, po długiem podsuwaniu się pod takie ławice, na których gremialnie ptactwo żerowało, otrzymywałem przeważnie rozmaite gatunki przelotne. Za przykład mogą posłużyć tu strzały, których ofiarą padły raz 2 kwokacze (*Totanus glottis*), 1 batalion (*Machetes pugnax*), 1 czajka, 2 biegusy małe (*Tringa minuta*), drugi raz 1 batalion, 2 czajki, 3 biegusy zmienne (*Tringa variabilis*), pomimo że znajdowało się tam mnóstwo zwykłych naszych gatunków, które jednak zawczasu wyniosły się, płosząc przytem inne.

Kaczek na wodach nie widać, natomiast bezustannie przelatują wysoko w górze niewielkie stadka krzyżówek i ledwo dochodzi ucha świst lotów. Przemknie ukośny łańcuch z kilku lub kilkunastu sztuk złożony i wnet albo rozpływa się w błękicie, albo zapada w lasy trzcin i traw, sterczących z wody. Tam, gdzie widnokrąg zamykają zarośla łóz na wyniosłych namulistych brzegach rzeki, tam niby szara chmura przeganiają się stada cyranek i rozmaitych drobnych odmian kaczek. Kaczki w ogóle, należąc do materyalistów rodu ptasiego, wędrują dopiero wtenczas na południe, gdy środków bytowych zabraknie, to też nie ma tam na wodach egzotycznych odmian, i wszystko, co tam się czerni i lata, wykochała nasza ziemia, a wylewy rzek, to tylko miejsca zbiorowisk odmian krajowych, wyzyskanie suto zastawionego stołu po lęgach.

Niezmierne te stada unikają w regule głębokiej i czystej wody, natomiast, gdzie zarośla z płytkiej wody sterczą, gdzie wiele robactwa, drobnych rybek, a po nad wodą łodygi nasienne rozmaitych ziół wodnych się chwieją — tam całemi płachtami okrywa to ptactwo powierzchnię. Szczęśliwy myśliwy, który się potrafi pod takie zbiorowiska do strzału podsunąć! Strzały jego rzeczywiście do intratnych zaliczyć należy, a wieśniak wyczekuje na nie długo z swą pojedynką i zbiera po przebytych katuszach od razu plon obfity. Lecz ile tam w takich wypadkach idzie ptactwa marnie, ile niedającej się określić krzywdy i bolu wyrządza się biednym kaczkom — tego nie potrzebuję wspominać. Strzały z czółen do porywających się z zarośli kaczek są najzwyklejszą praktyką myśliwych. Ale to, do czego się tu strzela, to zwykle ariergardy, zrywające się tu i owdzie z rzadka, bo główne masy kupą siedzącego ptactwa porywają się pomimo najostrożniejszego przesuwania się zazwyczaj po za granicą donośności strzału. Tylko więc zwyczajowi kaczek, osiadania z rzadka wśród zarośli w wielkim promieniu około siadła głównych mas, zawdzięczyć należy, iż prawdziwie myśliwskie do pojedyńczych ptaków skierowane strzały są tu możliwe.

Nie zapamiętam, ile to razy, po uciążliwej przejażdżce łódką przez lasy wiklin, traw i zarośli, wracać musiałem z próżnemi rękami, nasyciwszy tylko oko rzadkim widokiem; żywo natomiast utkwiły mi w pamięci szczęśliwe a rzadkie wyniki takich łowów z czółna. Korci zatem wsiąść znów do łódki i przesunąć się wśród tych gęstych obecnie przybytków ptaka, płazu i ryby. Jeszcze czółno nurza się w błyszczącym teraz do słońca żywiole, niby w roztopionem złocie; jeszcze daleko do sinych cieni łóz i oczeretów, ale już słychać stamtąd jakiś szmer, i wnet na jasnem tle nieba ukazuje się dziwnych kształtów bączek *(Ardea minuta)*. Nie miło snać temu zdrobniałemu hypochondrykowi, mieszkańcowi odludnych moczarów, wspólnie z bąkiem (*Botaurus stellaris*) w tych, obecnie gwarnym narodem kaczym przepełnionych zaroślach; niezadługo, a wybije i jemu godzina nieuniknionej na południe podróży, lecz ostatnich na naszych wodach wczasów nie daje mu spędzić w ulubionym spokoju krzykliwą płaskodzióbów zgraja. Nie dziwota, że humor ma zły, bo nad swój zwyczaj w jasnych promieniach słońca porywać się musi, on, sybaryta, używający tylko niedalekiej i tylko na niezbędną konkokcyą żołądkową obliczonej przechadzki w chłodzie wieczornym. Teraz leci widocznie wyszukać jakiś spokojniejszy zaułek, błysnął do słońca czarno-zielonym grzbietem — zatem to samczyk — wyciągnął w tył opuszczone przy zerwaniu się nogi, wyciągnięta szyja gnie się jak gadzina wypiętym naprzód niby *S* kabłą-

kiem, po kilka razy wrzasnął złośliwie „krau, krau“ i zginął w kępie wikliny przybrzeżnej.

— Zbyteczny pospiech, niepotrzebna płochość, bo któżby się tam łakomił na Wać Pana nędzne życie — pomyślałem, podsuwając się coraz to bliżej pod ścianę zarośli, przez którą uciążliwa, a pełna niespodzianek czekała mnie podróż.

Tysiące ptactwa siedzi tam ukryte, tysiące lata i tylko miejsca siadła wypatruje. Łódka jak wąż przeciska się mozolnie przez gąszcze, miejscami spodem o ziemię ocierając. Jazda cicha niemożebna, szelest ocierających się gałęzi o liście i ściany jest wystarczający dla subtelnych uszu ukrytego ptactwa, które szelest ten zna doskonale i najrozmaitszej używa taktyki w celu uniknięcia niemiłego spotkania z głównym burzycielem spokoju, który w tej chwili zbliża się na łódce. Jeszcze nic na tle nieba nie widać, a słychać już szum potężny, jaki sprawia uderzenie tysiąca lotów zrywającego się z wody ptactwa; to stado krzyżówek wzbija się w górę, pokazuje się niby szara płachta po nad ścianą traw, wznosi się coraz wyżej i ginie, — a oko skacze tylko po okolicznym terenie, szuka po niebie i wodzie, i ręka kurczowo ściska gotową do strzału broń. Nadaremnie! Prawidła ballistyki są dobrze znane tym szarym chmurom latawców, i kto chce z takiej wyprawy nie z próżnemi wracać rękami, ten nie da się porwać strzałowej gorączce i zaczeka ze strzałem, bo w okół tam jeszcze nie pusto; to tylko główne porwały się masy, lecz w rozmaitych kierunkach, może gdzieś tuż przy łodzi, siedzą w zaroślach pojedyncze kaczki, zaczaiły się w gąszczach, sądząc, że w ten sposób unikną niebezpieczeństwa, inne zaś odpływają cicho z obrębu zaniepokojonego i dopiero poza donośnością strzału będą się zrywać do lotu.

Ha, gdybym was pierwszy raz widział mądre kaczusie, możebym na wyścigi gonił za uszłem stadem i gonił nadaremnie, a tymczasem straciłbym sposobność prawdziwie myśliwskich, chociaż nie zbyt intratnych strzałów. Znam jednakże wasze fortele, wiem, że lepszy wróbel w garści niż cietrzew na płocie i dlatego jak wyżeł w rozmaitych obrotach kręcę się z czółnem wśród gąszczy, i wnet taktyka ta do celu mnie doprowadziła. Tuż, z pod samej łodzi, ciężko chlupiąc po wodzie, porywa się zapewne jakaś niedopierzona krzyżówka, wrzeszczy biedaczka jak opętana i wznosi się niemal w pionowej linii ponad zarośla. Jeszcze odgłos strzału nie przebrzmiał, a już druga w ten sam sposób porywa się z tyłu — pada drugi strzał i drugi raz chlupło we wodę ciężkie ciało krzyżówki. Posuwam się naprzód coraz to w większe zarośla, jeszcze kilka razy powtarza się to samo i pomnaża się zdobycz w czółnie. Mijam wreszcie miejsce, skąd się główne porwały masy; cicho tu teraz w tej ustroni, trochę pierza kaczego pływa na wodzie, a po zielonym kobiercu rzęsy, pokrywającym okoliczne wody, eterycznym biegiem przemyka kureczka wodna (*Gallinula chloropus*). Gdzie tylko ten kobierzec przerwało brutalne i łakome żerowanie kaczek, wyziera z toni oknami cały świat życia wodnego. Robak, płaz, ryba — wszystko to buja teraz swobodniej, gdy rabuś się wyniósł.

Ładunki w strzelbie, kurki odciągnięte, lecz jak się zdaje, na dziś już koniec łowów. I pomimo, że oko w rozmaitych kierunkach daleko przebiega widnokrąg, spostrzega już tylko konkurentów łowieckich, ale nie ma łownej zwierzyny. Tam na krawędzi lasów, na drzewach przybocznych osad i sadów, siedzą o ile możności na silnych gałęziach wierzchołków groźne postacie rozmaitych drapieżników, mnóstwo zakrzywionych dziobów i ostrych szponów czeka na ofiary. Nad spokojnem lustrem wody, przeciąga niewidziany tutaj o innej porze rybołów (*Pandion Haliaetos*) z mocno wygiętemi skrzydły, ze spuszczoną głową, jakby kokietował swą piękną postacią w zwierciadle wody. Nie próżność to wszakże, lecz dojrzana ryba zajęła tego rycerza, wpatruje się w nią i wnet ze ściągniętemi skrzydły spadnie niby kamień na ofiarę. Jak srebro roztopione, błyśnie na chwilę siedmiobarwną tęczą rozbryzgana woda, i w okamgnieniu pomknie ptak z kilkufuntową rybą do lasu. Może to jego ostatnia jesienna u nas uczta, może jutro innych wód ryby stanowić będą jego zdobycz, bo rabuś ten jest obecnie w podróży.

Już późno, już się podnoszą sine opary wód, a delikatny oddech z zachodu ściele je dokoła w fantastycznych kształtach. Jakieś korzenne i oryginalne wyziewy przepełniają powietrze, woń tataraku, wodnej mięty i innych ziół aromatycznych, niby wszystkie zapachy Arabii, łączą się z wyziewami ryby i płazu — miesza się to wszystko z owemi gazami, co bezustannie w kształcie bulek wydobywają się na powierzchnię za poruszeniem dna tyką, a wszystko to razem wytwarza ową charakterystyczną jakąś atmosferę, po której i ciemny miejscowość poznać może...

Przedziwny ten świat życia i ciągłej przemiany materyi, wyciska i tutaj odrębne piętno, działające na nasze zmysły. Maleńką tylko cząstką tego dramatu natury, jaki się tu bezustannie odgrywa, zdoła dostrzec nasze oko, bo każda kropla, to cały świat organizmów walczących o byt swój i swych pokoleń, jedne pożerają drugie, szczątki służą znów innym za warunek życia, i dopiero u szczytu pojawia się człowiek, najpotężniejszy na pozór w tym rozwojowym szeregu, przywłaszczający sobie wielkie prawa, niepamiętny, że wśród tych korzennych wyziewów wdycha zabójcze zarazki, że i w tym kwiecie bujnego życia lęgnie się robak śmierci, która go zdradziecko z nóg zwali...

Wysuwa się wreszcie czółno na coraz to czystsze wody, rzednieją zarośla, gubią się trzciny i tylko wielkie lustro dzieli nas od majaczących w dali brzegów zatopu, ku którym łódź cicho się zbliża. I zdaje się, jak gdyby oddalały się od nas jedynie lasy trzcin i zarośli, jak gdyby ulatywał od nas hymn wieczorny rozmaitego ukrytego tam ptactwa, i że my tylko sami stoimy jak zaklęci wśród tych wód ogromnych.

Siny welon w oddali pokrywa coraz to silniej opuszczone miejsca, coraz to bardziej miesza i zlewa się wrzawa ptasich gardziołków, wreszcie brzmi w powietrzu potężna przedsenna serenada, na jaką tylko krocie koncertantów zdobyć się mogą. Dziwny to chór: tysiące artystów wiesza się po gałązkach wiklin, źdźbłach i wiechach traw, a każdy śpiewa na swój właściwy sposób — i wszystko to razem zlewa się w harmonijną całość, w jedno tło symfoniczne, na którem tem dobitniej odbijają się krzyki i świsty innych mieszkańców tych okolic. Słychać świst kurki wodnej (*Ortygometra*), przypisywany mylnie żółwiowi, słychać krzyk wodnika (*Rallus aquaticus*) z gąszczy zalanych traw, a po drugiej stronie, tam daleko, na ławicy, poświstują kuliki i odzywają się czajki.

Czem częściej dolatują ucha owe najrozmaitsze dźwięki natury, tem czulszemi stają się i nerwy pod wpływem tej gimnastyki i odnajdują wybitne różnice tam, gdzie dla ucha nierutynowanego wszystko w jeden niezrozumiały spływa się chaos. To bardzo wyraźna, choć przedziwnie subtelna mowa natury, nie potrzebująca spół- i samogłosek do wyrażenia myśli, to pieśni bez słów, które my najlepiej rozumiemy,

i kochamy, bo towarzyszą nam w życiu myśliwskiem i kiedyś brzmieć będą nad naszą mogiłą...

Już łódź o brzeg trąciła. Jeszcze raz zwraca się oko na szary już teraz i tylko jasnemi refleksami wody rozświecony krajobraz. Ostygła już myśliwska namiętność — na tle sennych serenad spoczął umysł rozgorączkowany, a zalane w okół wioski przypominają zniszczone mienie i budzą na nowo wrażenie tej grozy, jaką jest nieokreślony żywioł dla człowieka.

Czarne mroki zalegały powoli świat; jasną wstęgą zaznaczała się już tylko szeroka droga, prowadząca mnie do domu. Tam wysoko na błękitach zapalały się coraz to gęściej całe miriady nieznanych światów, a wzrok i rozum gubił się w tej nieskończoności, której zmysł nasz nie zgłębi, umysł nie pojmie i chyba tylko duch przeczuwa. Jakże błahą wydała mi się teraz owa krzywda, którą rozbujały żywioł wyrządził tu, na tym płatku starego globu!...

ŁOWY PANA MARKA

nie tyle ucieszna ile prawdziwa historya.

(Dokończenie).

Mijał dzień po dniu, toczyło się dalej koło ziemiańskiego żywota, na pozór suche i jednostajne, a wewnątrz pełne treści, brzemienne czynem, pełne najszlachetniejszych wrażeń w bezustannem zetknięciu z tą wielką panią, która w dłoni kapryśnej dzierży nietylko dobrą i złą dolę ziemianina, ale i dolę całego narodu.

Dzięki kilku Kasiom w okolicy zabrzmiały na chwilę w innym tonie struny życia, nadszedł listopad a z nim całe pasma wspomnień i miłych i bolesnych, i wezbrane uczuciem serca nuciły piosnkę nadziei. I kurczył się dzień dążąc do minimalnych swoich granic, spadły ogromne śniegi, otwierał się wspaniały sezon myśliwski.

Gdzie człowiek wówczas nie bywał? w której kniei nie brnął? Zawody i powodzenia — wszystko to zostało w miłej pamięci, wszystko to przystrajał pogodny i wesoły promień prawdziwej ducha biesiady, w życiu ludzkiem niestety zbyt przelotny.

Wreszcie i to musiało ustać. Wściekły jakiś orkan jednej nocy pozanosił drogi, nieprzebyte potworzył wały, chcąc niechcąc trzeba było broń na kołku zawiesić i siedzieć w domu, póki się nieco drogi nie utrą

Siedziałem wieczorem w mej t. z. kancelaryi, ogień strzelał na kominie, a ja oddawałem się niemiłym zazwyczaj kombinacyom rachunkowym i roztrząsałem w rozmaitym kierunku tajemniczą księgę ziemiańskiej przyszłości. Spodziewałem się trzy ćwierci żyta z kopy, a teraz omłot pokazywał tylko pół korca i to z lepszego, bez chwastu, a Bóg wie, co będzie z gorszego, co go „dreseń przysiadł?“ Pszenicę „zawiało“, zatem sam poślad, z zmulonego siana bydło kaszle, a „Hrywa“ ciele zrzuciła niezawodnie także z tego przysmaku. Dwa byki widocznie chudną, z pewnością zamotyliczone, pod wiosnę będą z nich skóry, a teraz szkoda sprzedać, szkoda zimować i t. d. i t. d. ciągnął się łańcuch ponurej sperandy i nieuchwytnych kombinacyj. I byłby się ten łańcuch ponury nie tak prędko skończył, gdyby uwagi nie oderwało skrzypnięcie drzwi, poczem w mroku wieczornym wsunęła się do pokoju jakaś czarna postać. Steoretypowe „kłaniam“ zdradziło dobrze i mnie i całemu domowi znanego Srula.

Czem był dla mnie i w ogóle dla całej Pustowli ten Srul, to nie tak łatwo określić. Jak kameleon barwy, tak on zmieniał w miarę potrzeby swój charakter, każdemu usługiwał jak zaręczał „z delikatnoszci“ — załatwiał najróżnorodniejsze interesa wszystkich w Pustowli, główném zaś jego powołaniem było utrzymywanie łączności Pustowli z Europą, nosił bowiem pocztę dwa razy na tydzień, a spełniał funkcyę tę z pewnym namaszczeniem, odczuwając zdaje się doniosłość swego kulturnego posłannictwa, które odziedziczył po ojcu. Swoją drogą iż to, co dla mnie było rzeczą główną, było dla Srula w rzeczywistości tylko koniecznem złem, *„ein urmes Nebengeschäft“*, otwierało mu jednak drogę do rozmaitych na folwarku monopolów. Od pewnego czasu Srul począł już marzyć o posiadaniu jakiejś nadobnej Sury, o pachcie krów, uprzyjemniał sobie żywot kombinacyą, że na przyszłość szczepek jego wstąpi w ślady ojców i dalej będzie nosić pocztę i t. d. Patryarchalne te marzenia rozciągając się w nieskończoność, i mogąc się stać, jak to bywa, czynem i ciałem, podały i mnie sposobność do marzeń. I oto w marzeniach mych dostrzegłem, iż w stosunku tych licznych pokoleń, z których jedne mają się trudnić pachtem krów, kontrolą każdej handlowo-gospodarskiej transakcyi, i łączyć na zawsze mnie i moich następców z resztą krajów i ludów Europy, a powolną sprowadzać przemianę rol...

— Ha — głupie marzenia! — pomyślałem, sen mara, Bóg wiara, pchły skaczą tylko na psią skórę, — ale mimo to postanowiłem święcie, iż z dniem Nowego roku zerwanym ma być ten silny węzeł, w obec którego nierozerwalność małżeństwa jest wątłą pajęczyną. Od 1-go stycznia ugodziłem chłopa do wożenia poczty.

O tym strasznym w następstwach fakcie wiedział już Srul, to też ze swej strony starał się o ile możności uczynić mi gorzką chwilę pożegnania.

— *„Gnädiger Herr, Ihr werds gur nischt ausführen mit dem Goi, a Goi ist umal a Ganef* — mawiał Srul za każdem przybyciem zasypując mnie niezliczonemi, bardzo korzystnemi propozycyami, czem w najgorszym razie chciał mi uczynić ciężką chwilę rozłączenia.

I tym razem wyciągnął próbkę jakiegoś żyta zrosłego w brudnej chustce i kładąc ją na stole proponował mi korzystny interes. Oto miałem to żyto kupić na ordynaryę dla czeladzi, a on ofiarował mi o 1 zł. więcej za moje. Gdy z oburzeniem odrzuciłem propozycyę, schował próbkę i zamilkł, ale w myśli powtarzał niezawodnie: *„a närrischer Parec“*, wyciągając z pod chałata kilkudniową pocztę.

Przy świetle przeglądałem gazety, wtem wysunęła się z nich karta korespondencyjna; doczytywałem w niej właśnie końcowe stypulacye prawne do łba i do skóry z dzika, gdy szczekanie psów na podwórzu zwiastowało przybycie gościa.

Po odczytaniu karty byłem już pewny, kto mógł być owym gościem, który wobec wyjątkowo przyspieszonego tempa, z jakim rąk moich doszła jego karta z prośbą o wysłanie koni, zjechał się z nią równocześnie, dzięki tej nieupaństwowionej dotąd komunikacyi, którą własnym sumptem utrzymywałem. Zdarzało się najczęściej, iż autorowie w tym samym celu pisanych kart, już z powrotem odemnie mijali się z moim Merkurym pocztowym i ze swojemi listami.

Pan Marek, okurzony śniegiem, przemarznięty, rozbierał się już w przedpokoju i głośno witał się ze mną. Ściągał okrutnie wysokie sukienne buty przy pomocy najętego swego furmana, który widocznie nieznając dobrze drogi wśród zasp wiózł go od 11 do 5-tej, odbywając kilka po drodze popasów, co o tyle wpłynęło na dobre stosunkowo w takich okolicznościach usposobienie chłopa, iż nietylko że nie narzekał, ale wyszedłszy do sań po kuferek p. Marka głośno przed moim Mikołą wychwalał odbytą podróż.

— Duże dobry Pan, ne żal z takim ichaty taj bidowaty.

A gdy pozwoliłem mu w stajni z „chudobą“ przenocować, a pan Marek udokumentował na koniec jeszcze raz swą dobroć pewną dodatkową sumą monety brzęczącej, chłopisko, poleciwszy nas „łasce bożej“, wyniósł się w nadmiarze szczęścia.

Dobrze mi znany kuferek, zeszedłszy się tym razem szczęśliwie ze swoim właścicielem, spoczywał teraz na krześle. Na górze wielkiemi literami czerwonemi wypisany był monogram M. J. Pan Marek był również w złotym humorze, miłe po awanturniczej przejażdżce ciepło izby, kipiący samowar, rozwieszone po ścianach izby jadalnej trofea myśliwskie i takiejże treści obrazy — budziły nadzieję i wprawiały go w znakomite usposobienie. Ktoby go teraz widział, jak w najrozmaitszych zwrotach opowiadał niedawno przeżyte w kniei epizody, jak prawił o swych dokonanych już „studyach“ nad naturą dzika, co według jego zdania było rzeczą na wstępie najważniejszą, aby mogło nastąpić to, co dotąd było jego ideałem — tenby z pewnością nie poznał w nim tej samej figury, w jaką się przemienił niedawno temu, gdy odyniec z psami przedefilował koło niego, a on aż kurczów w ręce dostał od ciśnienia cyngla.

Zbliżała się już astralna epoka naszego planety, kiedy to ongi na śniegiem pokrytych wzgórzach Kilhäronu, Parnasu, w miesiącu Poseideonie (w grudniu) zwiastował wesoły orszak Dyoniza Eleuthera powrót urodzaju na ziemię. Na wielkiej, mroźnej sarmackiej równinie ani marzyć w grudniu o czemś podobnem; szesnaście godzin doby okrywają ją cienie nocy, rozświecanej tylko słabo sinem odbiciem światła od niezmiernych powierzchni śniegów i lodów. Nie wróci jeszcze tak prędko urodzaj na ziemię, ale nadzieja radosnem uczuciem przepełnia serca, bo u schyłku tego miesiąca światło ostatnią a zwycięzką z ciemnościami stacza walkę.

To „Bóg się rodzi, moc truchleje“, i odrodzi się umysł człowieka pod wpływem bijących od stajenki Betlejemskiej promieni i odrodzi się przyroda cała, pieszczona ciepłem i światłem zwycięzkiej dnia gwiazdy.

Zbliżały się nasze prastare gody, zbliżał się szczodry wieczór, rozpoczynający odwiecznemi zwyczajami uroczyste święta Bożego Narodzenia. Wszystkie dary nieba muszą się przyczynić do uświetnienia tych dni — wszak to uroczystość szczodra — „dziś gody a jutro głody“. Prastary zwyczaj wymaga i wielkich ofiar w kniei, wszystko, co tylko ma jakąbądź sposobność, stara się zbliżyć do tego przybytku, w którym kalendarzowa pora każe zwierzynie składać liczne ofiary na rzecz człowieka.

Świąteczna zwierzyna i mnie już od kilku dni nie dawała spokoju, w kniejach odbywały się energicznie objazdy i tropienia, a w trakcie tego powiadomiłem p. Marka o zamierzonych łowach. Wszak i on chciał ofiarować pamięci swych przodków bodaj łeb i skórę z dzika w chwili życzeń dosiego roku.

Pięć czy sześć dzików, a pomiędzy niemi dwie grube sztuki włóczyły się i zalegały w rewirze, dzień więc jutrzejszy miał rozstrzygnąć o ich losie.

Jeszcze szary mrok zalegał okolicę, gdyśmy na prostych saniach raźnym kłusem posuwali się ku niedalekiej leśniczówce pod lasem. Był to wyznaczony z góry punkt zjazdu. Na podwórzu zagrody stało tam już kilka sań a kilku najbliższych sąsiadów przed gankiem starej, małej, pochylonej leśniczówki rozmawiało żywo z gospodarzem. Wszystko, co tylko znajdowało się w obrębie tej zagrody, budynki, płoty, studnia, nie wyłączając osoby gospodarza, nosiło cechy starości i jakiegoś zaniedbania, jak gdyby cała ta zagroda li tylko jakimś tymczasowym dla ludzi i dobytku miała być schroniskiem, osoba zaś gospodarza całą swą powierzchownością wyglądała niby przejaw jakiegoś dawno już zaginionego typu. Była to postać oryginalna, z jaką już dziś rzadko tylko spotkać się można. Pomimo, że był autorem owej całej archeologii architektonicznej, która otaczała go ze wszystkich stron, pomimo, że jak mawiał, dwie siekierki już kilka lat temu przesunęły się nad jego głową, wyglądał wśród tego otoczenia najmłodszym, lecz i najprostszym, bo nie używał dotąd żadnej podpory, podczas gdy wszystkie budynki, chlewki, przyboki i t. p. dodatkowe wygódki, chyląc się to w tę to w ową stronę, wspierały się pod rozmaitemi kątami na podporach, aplikowanych w miarę potrzeby.

Dom mieszkalny, t. z. leśniczówka, już z powierzchowności nie wyglądała odpowiednio na przyjęcie bodaj chwilowo liczniejszego towarzystwa. Było tam, oprócz mnóstwa półciemnych zakamarków, wszystkiego dwie izby, w których się obecnie mieściły trzy pokolenia, przyjechała bowiem córka gospodarstwa z dziećmi „na święta“.

Starzec, przywitawszy się z nami, przepraszał, że do izby natychmiast nie prosi, bo tam jeszcze nieporządek, ale za chwilę będzie inaczej, tymczasem zaś młodzieńczym ruchem porwał za miotłę, stojącą w ganku, pospędzał nią z krzykiem kury i indyki, siedzące rzędem na baryerze ganku po nad ławkami, a zagarnąwszy miotłą po ławach i oczyszczając je w ten sposób bardzo tylko z grubsza z nagromadzonych tam od dawna pomiotów, sądził, że nadeszła już stosowna chwila do wygłoszenia: „Proszę siadać!“

Spoglądnęliśmy przelotnie po sobie, — dwa wieki różnych wyobrażeń zetknęły się, — podziękowaliśmy staremu milczkiem za jego uprzejmość. Toczyła się dalej gawędka pełna różowych myśliwskich nadziei, a podczas tego stary znikł w sieniach domku, i po chwili wyszedłszy zaprosił nas do izby.

Kilku ze spodziewanych towarzyszy zapóźniło się, wypadało jeszcze chwilę zaczekać, to też korzystaliśmy z gościnnej izby gospodarza. Korzystali — ale nie wszyscy, bo pan Marek znikł gdzieś po krótkim wykładzie popularnym o zaletach swej strzelby, a toż samo gospodarz, wprowa-

dziwszy nas, wyszedł do zbierającej się pod stajnią obławy. Izba, w której się teraz znaleźliśmy, była widocznie przybytkiem ludzi innej epoki, ludzi, którym wcale nie były niezbędnemi wygódki nowych czasów, i którzy wbrew wszelkim zasadom hygieny przeżyli tu długie lata w zdrowiu i doczekali się lat starości, niewidocznie dziś spoczywającej na ich barkach. Czyżby to błoga atmosfera lasów miała absorbować owe wszystkie niebezpieczne wpływy, jakie działać tu musiały szkodliwie na zdrowie człowieka według naszych pojęć nowożytnych? Czyżby balsamiczne powietrze lasów zdołało zneutralizować te wszystkie wrogie działania, jakie tu z każdego wyglądały kąta? Drewniana przy drzwiach zasuwa, tylko w zimie używana, w miejsce dawnej metalowej klamki, bardzo tylko niedokładnie spełniała swoje przeznaczenie. Szpary w drzwiach rozeschniętych pozatykano paskami ze starej jakiejś bundy, a nad progiem w drzwiach był umyślnie wycięty otwór dla kota, aby w porze nocnej mógł wyprawiać po całym domu łowy. A był to widocznie rewir bardzo zaszanowany, bo w rozmaitych miejscach powygryzane dziury w starej podłodze dawały niejakie wyobrażenie o zwierzostanie.

Ogromnych rozmiarów piec, zajmujący czwartą część izby, na którego powierzchni rozmaite naprawki wytworzyły cały łańcuch gór chropowatych, niezamykający się nigdy, a opalany z sieni, miał być skutecznym środkiem na wszystkie niedostatki drzwi, okien, podłóg i ścian, które przy tem wszystkiem w swych płaszczyznach jakoś nigdzie ani z poziomem, ani z pionem zejść się nie mogły.

A przecież ta rudera obecna była świadkiem szczęścia długoletniego, przywiązali się do niej ci ludzie starzy i spychali jak mogli zamierzoną budowę nowej leśniczówki, na którą potrzebne materyały leżały już na podwórzu. Lepiej im było w tej starej, pochylonej i wilgotnej budzie, gdzie od lat dawnych spokój ducha i pogoda życia, nie zakłócone żadną gorączką, kładły niespożyte podstawy dla zdrowia i szczęścia ziemskiego.

Pokój, w którym obecnie przeglądaliśmy porozwieszane na ścianach rozmaite obrazki, był widocznie sypialnią gospodarza. Wskazywało to ogromne łoże w stylu I. cesarstwa, nad którem wisiała na zwykłej rogóżce ulubiona „ferlachówka“, zawsze nabita, z podłożonym pod kurkami omykiem zajęczym. Strzelbę tę znałem doskonale, zawsze nosił się z nią stary po polowaniach, a po ukończeniu sezonu polowań kniejowych, hartował lufki, które jak sądził, traciły „brank“ po dłuższem strzelaniu. Hartowanie to odbywał w sposób bardzo prosty i żadną go tajemnicą nie okrywał; rozgrzewał odjęte lufy przy ogniu angielskiej kuchni, a następnie smarował na gorąco łojem baranim. Po ukończeniu tej operacyi, strzelba znów posiadała „brank“ sezonowy — i przekonać go o nieprawdzie tego, było niepodobieństwem.

Staruszek, wydawszy obławie po porozumieniu się z leśnymi odpowiednie dyspozycye, wracał już do izby.

— Panowie już jadą, więc może zaczynać będziemy. Kilka dzików leży w świerczynie, tuż od ogrodu, zatem niedaleko do stanowisk.

Wszystko się ruszyło ku wyjściu. Stary zawiesił na szyi swą ferlachówkę, torbę ogromną, zarękawek z borsuka, ogonem lisim bramowany, i za chwilę staliśmy skompletowani na podwórzu, czekając na podwody. Podczas tego sędziwy nasz kierownik łowów, meteorologiczne robił spostrzeżenia. Pośliniwszy palec, wzniósł rękę do góry; rozpoznawał w ten sposób kierunek prądów atmosferycznych, niedających się w inny odczuć sposób, a ostrzegających przed czasem subtelne zmysły zwierza.

— Wiatr dobry — i ręka utonęła w borsuczym zarękawku — od pastwiska ku kniei dycha. Całkiem cicho zachodzić! — dodawał już zwrócony do sążnistego chłopa, dowódzcy pogonki.

Lecz w tej chwili, tuż pod świerczyną, na ogrodzie, rozległ się strzał. Ilu nas było, wyglądaliśmy w tej chwili jak postrzeleni, taki skutek wywiera sam odgłos strzału niespodziewanego z tej właśnie strony, skąd miała cicho zachodzić obława.

— Kto strzelał? Do czego?

Jeden blednął, drugi czerwieniał, a w każdej głowie gorączka myśliwska odmienne malowała obrazy. Pana Marka dotąd nie było, miał on pójść na linię stanowisk i tam nas oczekiwać, jak zapewniał staruszek. Moja fantazya nie próżnowała tymczasem. Widziałem niby na jawie pomykające stado spłoszonych dzików, chmura wzburzonego dzikim popłochem śniegu, majaczyła jeszcze wśród zarośli, wreszcie i to znikło i widziałem tylko trop stada, trop aż do granicy lasu, a pod świerczyną nad ogrodem unosił się lekki siny dymek. Nie był to już żaden fantom wyobraźni, ale prawdziwy, najprawdziwszy dymek. Pan Marek z kartką starej gazety krzyczał już z oddali:

— Ależ to moja strzelba chodzi! Patrzcie panowie, na sto kroków w samo centrum.

Nie mogłem się powstrzymać, i gdyby nie sprawa z gościem, któremu nie można było naprawdę przypisać winy myśliwskiej, nie ręczę w tej chwili za nic. Zdobyłem się wszakże tylko na stosunkowo bardzo grzeczne słowa:

— Niech pana kaczki kopną w samo centrum! Wiesz pan, że tym strzałem zepsułeś całe polowanie, wypłoszyłeś całe stado dzików, które już mieliśmy jakby na saniach!

— Co? — zapytał z niedowierzaniem — to chyba bierzesz mnie pan na kawał? Żarty, żarty myśliwskie, a skąd by tu się mogły wziąść dziki przy samem obejściu, gdzie ciągle ludzie się kręcą?

Oburzone miny całego towarzystwa nie mogły przekonać pana Marka; był pewny, że wszyscy biorą go na kawał.

Nie było co wiele rozprawiać i tracić drogi czas. Wszyscy po kolei siadali na zajeżdżające sanie, spoglądając z niedowierzaniem na mego towarzysza, za którego i ja srodze wstydzić się musiałem.

Pan Marek, widząc niechętne i niedowierzające miny całego towarzystwa, siadł dopiero wraz ze mną na ostatnie sanie, a był jeszcze ciągle tego mniemania, że wszyscy naigrawają się z niego.

Jechaliśmy gęsiego dość wolno linią stanowisk. Na pierwszej furze siedział stary leśniczy, rozstawiając myśliwych. Wtem zatrzymały się pierwsze sanie, stary zwrócił się ku mnie i dał znak ręką. Ruch ten wytłómaczył mi rzecz doskonale; dziki poszły, a kierunek, w jakim wskazywał, nie budził we mnie nadziei, iż jeszcze z niemi dziś spotkać się możemy. Wnet rozległ się przeraźliwy świst na blaszanym patronie; było to hasło i dla pogonki i dla rozstawionych już po części myśliwych. Za chwilę nie było już nikogo na linii, a pogonka pospieszyła bokiem, aby zająć dalsze mioty, gdzie uszłe dziki zatrzymać się mogły.

Znając z długiego doświadczenia, co to są łowy na ruszone już dziki, straciłem na dziś wszelką fantazyę. Nawet gdyby się zatrzymały w kniei, spotkanie się z niemi bez psów, tylko do wyjątkowych zaliczam. W ogóle przebijają się dziki w takiem razie albo przez obławę, albo wynoszą się gdzieś flanką, którędy nigdy przedtem nie chadzały. Nie spieszyłem zatem za resztą towarzystwa, lecz.

jadąc dalej zwolna, skrzyżowałem trop uszłych dzików. Tu wskazałem panu Markowi istny rów w głębokim wytratowany śniegu. Pan Marek pobladł, pożółkł, zlazł ze sani, i nic nie mówiąc i nie dowierzając, w którym kierunku pochód miał miejsce — nie mogło się bowiem połapać nierutynowane oko na tropie w sypkim i wzburzonym śniegu — z odciągniętemi kurkami, co chwila przystając, przedzierał się pod trop przez okiścią pochylone zarośla. Słyszałem jeszcze chwilę szelest, jaki sprawiał w krzakach, wreszcie ucichło wszystko. Czekałem cierpliwie siedząc na saniach na jego powrót, ale nadaremnie; zabłądzić nie mógł w gąszczakach, bo wlokła się za nim nić Ariadny, jego ślad własny. Posłałem wreszcie za nim mego furmana. Chłopisko przeszedłszy cały miot, oglądnąwszy opuszczone barłogi dzików, poszedł za śladem aż pod szopę na leśniczówce i dowiedział się, iż „pan“ dopadłszy tu pierwsze lepsze zaprzężone sanie, kazał się odwieść na folwark.

Gdy wieczorem wróciłem do domu, leżał na mem biurku list. Pana Marka już nie było. Zjadłszy obiad, odjechał. *Scripta manent* — to też po latach kilku mogę dosłowną podać treść tej epistoły:

„Łaskawy Panie Dobrodzieju! Po niefortunnym wypadku, przyznam się, wstyd mi było pokazać się towarzystwu na polowaniu dzisiejszem. Wyniosłem się zatem, przekonawszy sią naocznie, jakiej przykrości stałem się przyczyną. Strzelbę moją i pas z ładunkami pozostawiam, bo nie tracę nadziei, że kiedyś jeszcze zapolujemy, ale tylko we dwójkę. O mięso nie dbam, a łeb i skóra moje.“

* * *

Mijały dnie i miesiące. Strzelba pana Marka i jego pas z ładunkami wisiały w spokoju wśród mej myśliwskiej gratowni, a nie nadarzała się jakoś sposobność do urzeczywistnienia jego ideałów. I minął sezon myśliwski, inne myśli zajmywały ziemiańską mózgownicę, a wśród tego czas ulatywał i od ostatnich nieudanych łowów z p. Markiem, kończyliśmy wśród całej menażeryi zwierzyńca niebieskiego doroczną podróż około słońca.

I znów na części kuli ziemskiej, zamieszkanej przez nasze plemię, rozpoczęła się zima, ale zima fatalna, nowomodna. Nieprzebyte błota ściął powierzchownie mroźny powiew od Białego morza, a następnie jakby dla igraszki, rozrzucił po ziemi skąpo warstawkę suchego śniegu, potem zaś bawiąc się tym proszkiem, ponapełniał nim rowy i doły. Całe połacie kraju wyzierały też skalistą, pstrokatą grudą.

Był już późny wieczór. Dom cały, rodzina, domownicy poukładali się już do spoczynku, nawet psy podwórzowe wprosiły się wyjątkowo na nocleg do stajni. Siedziałem jak rok przedtem, w tym samym pokoju, wertując kartki dobrze mi już znanej książki. Cisza była w domu, tylko w ogromnym kominie rzewną melodyę Aeolus wygrywał, tylko dolatywały z jadalni szmery domowych gryzoniów.

„Okolice bezleśne mają zimy ostrzejsze“, czytałem, przesuwając nogami, bo zimny oddech z pod podłogi czuć się dawał „i w śnieg uboższe‘, czytałem dalej, „zachodzi tam znaczna różnica temperatury dnia z nocą“ i t. d. A z poza okna dolatywał trzask mrozem ściskanych gontów na stajni, w izbie promieniał ciepłem piec ogromnych rozmiarów, a przy ścianach zewnętrznych igrał nieznacznie boreasza podmuch.

Odgłos kroków na zmrożonej ziemi, tuż pod oknem, nie dał mi dokończyć tyle w tych warunkach zajmującej lektury. W życiu mieszkańca cichej wiejskiej ustroni, krok ludzki o tej porze, tuż pod samem domem, krok jakby umyślnie głośny, to coś niezwykłego. To zapewne zwiastun jakiejś nowiny, pewnie złej, bo ileż dobrych wypada na setki złych w życiu człowieka! Pewnie wół zachorował, cielę zdechło, krowę wzdęło, konia kolki napadły... Cały gmach patologii przesuwał mi się przez głowę, gdy lekkie pukanie odezwało się przy drzwiach sionkowych, a na głos mój wsunął się w grubym kożuchu ogromny mężczyzna.

Był to mój karbowy, od lat wielu, w całem tego słowa znaczeniu, wielki rachmistrz, znakomite dopełnienie mojej gospodarskiej indywidualności, właśnie w tem miejscu, gdzie moja najsłabsza leżała strona. Nie potrzebował on do wykonywania swoich czynności żadnych pauszaliów kancelaryjnych, bo materyału dostarczał mu pobliski zapust w postaci prętów, na których robił nieomylne swe sprawozdania rachunkowe gnypem, który i teraz wisiał koło czerwonego pasa na długim rzemyku.

Był to chłop nadzwyczaj uczciwy i trzeźwy, pedant i systematyk nadzwyczajny, jednak przy tak dodatnich i tak korzystnie usposabiających go zaletach do funkcyi, które pełnił, rzadka powolność i flegma tego olbrzyma doprowadzić mogła często do ostatniej pasyi. Wiecznie spokojna twarz i postać jego, wiecznie ta sama powaga w mowie i i w ruchach, nie dozwalały się nigdy domyślić, jakiej wieści jest posłem. To też i w tej chwili, gdy o niezwykłej porze stanął sfinks ten w spokoju, pozdrowiwszy mnie stereotypowem „Sława Bohu“, z pewną bojaźnią zapytałem:

— A szczo tam czuty?

Sfinks na to zapytanie wyprostował się, sięgnął ręką za pazuchę kożucha i wyciągnął kilka laskowych patyków, w całej swej długości pokarbowanych. Co dziesiąty karb był krzyżykiem, a każdy setny gwiazdką oznaczony.

Były to allegata rachunkowe zbioru ziemniaków; jedne oznaczały resztki wykopanych motyką, drugie wyorki, a trzecie pobiórki za bronami nieco przemarzłe, zatem niezdatne do przechowania. Użyty system dziesiętny był naturalnym wymogiem inteligencyi mego karbowego, wszak miał 10 palców u rąk, 10 u nóg, a nie zdołał go w tem zbałamucić nawet aprobowany przez urząd cechowniczy podział litra na ćwierci, szesnastki i t. p. monstra, które tak często miał sposobność oglądać w karczemce, w której z dziada pradziada była przedrobocza siesta „kłykanych“ robotników.

Na moje zapytanie olbrzym jeszcze dotąd milczał, ja tymczasem zapisywałem daty rachunkowe do książki, a obwiązawszy napowrót patyki, aby się kupy trzymały, postawiłem je za piec, gdzie był zwykły skład tych współczesnych runów.

Teraz widząc, że aprobata rachunków skończona, przyjętym zdawna zwyczajem, odezwał się karbowy na moje ruskie zapytanie łamaną polszczyzną:

— Proszę jegomości, lipsze by było zwieść bulby na gumno, między płoty — tam pod stajnią nie dobrze — czerez to, co na polu.

— Kradut, czy szczo? — zapytałem.

— Ta nie kradut, bo każdy teper swoje ma, a potem ziemia z werchu zamerzła, to się do nich trudno dobrać, ale jakby na pakość dziurę zrobiło, to mróz do kopca wlezie i wszystkie bulby zbawi.

Słuchałem tej agronomicznej rozhowory i wytrzymywałem ją cierpliwie; wytrzymywałem z przyzwyczajenia, przeczuwałem bowiem, że sfinks coś ważnego ma do powiedzenia, i że to był jak zwykle daleki wstęp do rzeczy.

— Bo to, proszę jegomości — cedził chłop dalej — riżna nędza, Hospod znaje z widkie, ściąga się do tych bulb, koby szkody ne buło.

Tu już brakło mi cierpliwości, trzeba było przyspieszyć tempo elokwencyi.

— Ta szczo za nędza, szczo ty choczesz po nocy diłaty! — huknąłem raptownie.

— Ta ja, z przeproszeniem honoru Jegomości, co ino pered weczerom zabił jedną dziurę...

Gdy chłop zaczął prawić o honorze, byłem już pewny, co się święci, przepraszał on zawsze honor, gdy miał wspomnąć o świni lub dziku.

— Pewno dykuny zachodiat z lisa?

— Oj, zachodiat, zachodiat! Lipsze było na gumno zwieść bulby meży płoty, — i po chwili namysłu jeszcze dodawał: — taki lipsze i bezpecznijsze.

Hamowałem się, jak mogłem, ale już brakło cierpliwości:

— Teper na to rady uże ne ma, treba pantrowaty, koby szkody ne buło! a jak pryjde, to w sej czas daj znaty.

— Ta ja właśnie z takim interesom pryszedłem — cedził chłop znów powoli — bo jeden z przeproszeniem honoru pańskiego, dobywa sie do kopca, a drugi stoi pod lasem.

Jeszcze nie dokończył, gdy porwałem się od biórka jak opętany, krzesło gdzieś w tył koziołka przewróciło, chwyciłem w mgnieniu oka strzelbę, ładunki, a pchając przed sobą chłopa, za chwilę byłem już na dworze pakując w moją lefoszówkę dwa naboje z pasa p. Marka, na których najwyraźniej wypisano: „kula eksplodująca“.

Pół księżyca jaśniało na niebie, i choć mroźny wiatr przeganiał lekkie chmurki, w których chwilami tonęło blade światło, było jednak zawsze widać muszkę na strzelbie, a kule eksplodujące — które przyznam się dziś po raz pierwszy znalazły się w lufkach mej strzelby — rokowały wszelkie powodzenie.

Podejście aż do rogu stajni, skąd strzał był możebny — jeżeli w ogóle zwierz był na tyle cierpliwy i jeszcze się nie wyniósł — było niełatwą rzeczą. Gruda oddawała najlżejsze stąpanie, skrzypiał pod nogami nieznośnie śnieżny proszek, to też użyłem wszelkich sposobów, aby się nie zdradzić; to jak kot z lekka podsuwałem się, to znów niby koń huculski próbowałem nogą miejsce, na którem stawała — i już byłem niedaleko węgła stajni, skąd dopiero mógł się odkryć widok na kopce z kartoflami, gdy przeraźliwy wrzask rozległ się od strony gumna. To pewnie jakaś nieostrożna myszka skonała w szponach sowy. Niezawodnie tak, wszak to pora sowich łowów — a jednak wrzask ten w tej chwili, gdym już miał wyjrzeć z poza węgła, raził przykro słuch, niby jakaś wróżba złowieszcza.

— Ej, głupstwo — pomyślałem, starając się odpędzić złowieszczą marę — pewnie wrzeszczy na trupa. I broń już była przy oku, słyszałem już prychanie, zwierz być musiał odemnie na jakie 30 kroków. Lekkie jeszcze jedno przechylenie głowy, a cały obraz leżał przed mym wzrokiem. Wielkich rozmiarów dzik czarną rysował się sylwetą na srokatym tle otoczenia. Tył był w górę wzniesiony; widocznie przyklękł na przednich nogach, a gwizdem ciskał w koło siebie kawały zmarzłej ziemi. Drugi dzik, z ryjem spuszczonym ku ziemi, stąpał powoli nieco opodal, jakby szukając czegoś po ziemi. Podczas gdy pierwszy, parskając od czasu do czasu, widocznie z zapałem pracował, drugi przystał na chwilę, wzniósł gwizd w górę — wietrzył — i gruchnął raptownie. Była to ostatnia chwila — kurek spadł wprawdzie, ale kula eksplodująca została w lufie. Ach, gdyby młot uderzył w me serce, nie sprawiłby mi większego bolu, jak to puste uderzenie kurka. Drugie pociągnięcie i znów ten sam pusty głos kurka. — A dziki? — Dziki drą już w dzikich susach niby lekkie gazele, przeskakują szeroki rów od pola, jeszcze widnieją ich czarne postacie na białej drodze pod lasem — i objął ich wreszcie gęsty zapust świerkowy. Od strony gumna odezwał się znów przeraźliwy wrzask sowy. Czyżby znów myszka skonała?...

Nie silę się na opis tego, co się w mej duszy działo, gdy na tej tak żywej przed chwilą scenie, grobowa zaległa cisza. W majakach nocy gubiła się jednostajna płaszczyzna pól, na widnokręgu ciemnym konturem rysowały się grzbiety ziemniaczanych kopców — niewiele pozostało dla oka — tem też silniej pracowała wyobraźnia, wytwarzając dziwnym swym pędzlem cały chaos szybko zmieniających się obrazów, niby snów na jawie. Machinalnie obróciłem się ku domowi, i teraz dopiero spostrzegłem, iż za plecami memi stał mój karbowy.

— To nic, proszę jegomości — pocieszał mnie szeptem — ony pryjdą znów, bo się znadzili — a w końcu dodał — ale zawsze szkoda, tożto byłby zjadek, taki tłusti!... a tu jeszcze i święta idą.

Właściciel nieszczęsnych kul eksplodujących ciągle mi pisał i mówił tylko o skórze i głowie, a dla mego karbowego był znów „zjadek“ niedoścignionym ideałem. O, jakażby między wami panowała harmonia — pomyślałem — gdybyście wy dwaj musieli kiedyś dzielić losy Robinsona! Co za szczęście na świecie, taki podział gustów — byle tylko nie kończył sie na tej gruboskórej kreaturze! Niestety, są rzeczy, ku którym skierowuje się gust całego świata, wszyscy w tej pogoni stają do walki na zabój, gotując powszechną niedolę — a nie do wiary podobnem jest szczęście tych, którzy się z tej ogólnej reguły wyemancypować potrafili.

Cały tłok rozmaitych myśli przewalał się po rozgorączkowanej mózgownicy, gdym się do spoczynku układał — chciałem czytać, nie szło — zgasiłem światło, lecz Morfeusz się nie zjawił. Według przepisu jakiegoś nieszczęśliwca bezsennego, rachowałem w myśli raz, dwa, trzy i t. d. aż do dziesięciu, a tymczasem zamiast wpaść w upragnioną Nirwanę, po trzechkrotnej turze idyotycznego powtarzania cyfer, wynurzył się z jakiejś okiścią śnieżną pokrytej zarośli p. Marek, okryty śniegiem, z kulami eksplodującemi w ładownicy śniegiem zabitej, i słyszałem wyraźnie głos jego: „I dziki dyabli wzięli i jeszcze całą kupę Verzagerów narobię, trzeba urządzić nura“. I znikł fantom i szczezło gdzieś całe jego otoczenie, gęsty zapust świerkowy za ogrodem leśniczówki, pod którym rok temu p. Marek urządził sobie tak skuteczne strzelanie do celu...

Powtarzając kilka razy w półsennej wyobraźni „Verzagery“, „Verzagery“, „przeklęte Verzagery“ — usnąłem nareszcie.

Świeże tropy następnej nocy upewniły mnie, że mój karbowy ma racyę, że dziki nie bardzo się przeraziły moich kul eksplodujących. To też zaraz rano zawezwałem p. Marka na pewne łowy. Brodatym Merkurym tej wieści był pachciarz, wiozący właśnie zapas koszernego masła do stolicy.

Znając ekscentryczne gusta p. Marka, byłem niemal pewny, że nim gwiazda wieczorna zajaśnieje, zjawi się nieomylnie przed szabasem na powracającej furze pachciarza.

Tak się też i stało. Ze świeżym zupełnie arsenałem zawitał p. Marek przed wieczorem w me progi, a był znów pełen fantazyi, pełen nadziei, w najświetniejszym humorze.

Wskazawszy mu jeszcze za dnia najwygodniejszą placówkę pod stajnią i poleciwszy jeszcze raz karbowemu, aby z okna swej chaty przyjścia dzików wyglądał, sądziłem, iż

tym razem już z pewnością w czyn się zamienią gorące jego pragnienia.

Ale cóż, człek mierzy i strzela, a Boruta kule nosi — człek układa świetne plany, a opiekuńczy jakiś duch jednem kiwnięciem palca druzgocze wszystko. Dobry geniusz jednej strony staje się dla drugiej nienawistnem fatum, „psiem szczęściem“, jak się często wyrażał p. Marek.

W tym wypadku śnieżna zawierucha była przejawem opiekuńczej ręki, a zarazem przedmiotem przekleństw i wszelkich wybryków złego humoru p. Marka. Wśród pluty i wiatru, pomimo przedstawień, że to na nic się nie przyda, wytrwał on jak prawdziwy bohater przez kilka godzin na swej placówce pod stajnią, i gdybym go jakoś przed północą natarczywem naleganiem nie zmusił był do odwrotu, kto wie, czy brzask dnia nie byłby oświecił martwych zwłok p. Marka, jak to się ongi stało z Walter Skota pielgrzymem.

Na szczęście świt dnia następnego nie miał zgoła żadnych zwłok do oświecenia, a muza tragiczna tym razem zadowolnić się musiała bodaj jakimś ochłapem. Pan Marek, narzekając gorżko na swe „psie szczęście“, przyglądał się w lusterku, omacując koniec nadmrożonego nosa, a mój karbowy składał sprawozdanie z wypadków ubiegłej nocy.

— Z przeproszeniem honoru państwa stała się wielka nesubornacya. Dykuny dobyły w nocy taką dziurę, co pół korca bulby zmarzło.

I zakończył już w kredensie, zwracając się do służby:

— Koby meni takich kilka paciukiw distaty, ne trebaby chrestyanynowy choć try misiaci robyty...

Władysław Spausta.

W sprawie ustawy łowieckiej.

Ustawa łowiecka, przewijająca się od kilku lat jak piskorz między różne ankiety, komisye i wydziały, i niknąca zawsze jak piskorz w namule podnoszonych wątpliwości, pojawia się znowu na obecnej sesyi sejmowej. W myśl uchwały Sejmu z dnia 18. maja 1893. wniósł ją ponownie Wydział krajowy od siebie w odmiennej kodyfikacyi, po uwzględnieniu wniosków rządu i sejmowej komisyi administracyjnej z roku ubiegłego. Sejm na posiedzeniu z dnia 17. stycznia r. b. przekazał ją swej komisyi administracyjnej i może być, że na obecnej sesyi przyjdzie ona wreszcie do ostatecznego załatwienia.

Projekt Wydziału krajowego trzyma się w ogólnych zarysach układu tego projektu, który już w roku 1887. ze strony Wydziału był wniesiony i okoliczność tę uważamy za szczęśliwą. Jeśli bowiem idzie o dobrą robotę językową, to projektowi ówczesnemu przyznać należy niezaprzeczoną wyższość nad późniejszem przedłożeniem rządowem, gdzie się mieściła niejedna karkołomna sztuka lingwistyczna i cała przeto osnowa chromała pod względem jasności i zwięzłości kodyfikacyjnej. Pierwotny wniosek Wydziału krajowego i obecne tegoż przedłożenie wychodzą z pod pióra niepośledniego znawcy języka i pisarza zajmującego wybitne miejsce w literaturze a oraz miłośnika łowiectwa, i dlatego też językowe obrobienie ustawy stoi o całe niebo wyżej od ugniecionego językiem oficyalnym projektu rządowego.

W sprawozdaniu Wydziału krajowego, poprzedzającem sam projekt, czytamy co następuje:

„Obecnie Wydział krajowy przyjął za podstawę elaborat swój z roku 1887. z pewnemi zmianami tak pod względem wewnętrznego podziału materyi na działy, jakoteż pod względem odmiennego sposobu wykonania niektórych przepisów.

„Przyjęliśmy podział materyi według projektu rządowego, aprobowanego przez komisyę sejmową — przenosząc dział o kartach myśliwskich na dalsze miejsce, po innych przepisach, stanowiących samo przez się treść właściwej ustawy łowieckiej.

„Dalej, co do redakcyi większej części paragrafów, przyjęliśmy tekst podany przez komisyę administracyjną z odpowiedniem stylistycznem przerobieniem.

„Co się zaś tyczy zmian, odnoszących się do osnowy projektu, wprowadziliśmy pominiętą zupełnie w projekcie rządowym ingenrencyę Władz autonomicznych przy wykonaniu ustawy, wychodząc z tej zasady, że sprawa łowiecka jako sprawa kultury należy do ustawodawstwa krajowego, że zatem Wydziały powiatowe z tego tytułu i z tytułu nadzoru nad majątkiem i dobrem gminy, powinny tu mieć zapewniony współudział.

„W §. 3. ustępie 6. przyznaliśmy w ogóle prawo samoistnego polowania wszystkim gminom na obszarach stanowiących ich majątek gminny, jeżeli przestrzeń tegoż najmniej 115 hektarów wynosi. Dawniejsze projekty prawo to przyznają tylko gminom, mającym własny statut i 30-tu miastom rządzącym się ustawą z dnia 13. marca 1889. (Nr. 24. d. k.) Wydział krajowy jednak nie uważał właściwem odbierania tego prawa innym gminom, skoro ustawa gminna zapewnia im prawo zarządu majątkiem w każdym innym kierunku.

„W §. 47. zmodyfikowaliśmy przepis o szkodach przez dziki wyrządzanych w ten sposób, że politycznej władzy powiatowej służy prawo: albo uznać odpowiedzialnymi za szkody właścicieli lasów, ktorzy zwierzęta te hodują, albo udzielać osobom przez gminę wskazanym bezpłatne certyfikaty na używanie broni palnej dla tępienia dzików i innej szkodliwej zwierzyny.

„Sprawę szkód przez dziki wyrządzanych w ziemiopłodach, uważamy za mającą donioślejsze znaczenie dla ludności wiejskiej w niektórych okolicach kraju, która faktycznie, nie mając pozwolenia na utrzymanie broni palnej, pozostaje w obec tych szkodników bez żadnej skutecznej obrony, czego dowodem tak liczne co roku petycye wnoszone z zażaleniami do Wysokiego Sejmu.

„Dziki zaliczone są do zwierząt niepodlegających ochronie, a temsamem użytkujący z polowania nie odpowiada za szkody przez nie wyrządzane. Z tego powodu, w projekcie tu przedłożonym, włożyliśmy na osoby broń posiadające obowiązek tępienia dzików, a zatem i odpowiedzialność za szkody, jeżeli właściciele lasów, gdzie dziki stale przebywają, nie czynią nic, co przeszkadza ich rozmnażaniu się, a nawet je hodują. Włożyliśmy dalej na władze polityczne obo-

wiązek urządzania obław publicznych, a wreszcie także obowiązek udzielania bezpłatnych certyfikatów na posiadanie broni osobom godnym zaufania, które gmina wskaże, bez względu, czy użytkujący z polowania zgodzi się na wybór tych osób, lub nie, jak tego wymaga odnośny przepis projektu komisyi sejmowej.

„Przy kwalifikacyi na dzierżawców polowań gminnych, wprowadziliśmy do §. 15. możność przedkładania przy licytacyi zapewnień Władz politycznych powiatu, że kandydat do dzierżawy kartę myśliwską otrzymać może. Przepis ten skutecznie wpłynąć powinien na pomnożenie licytantów, nie zmuszając ich do zakupywanie kart myśliwskich, których w razie nieutrzymania się przy licytacyi, mogą nie potrzebować.

„W dziale III. „O szkodach wyrządzanych przez polowanie i zwierzynę“ przyjęliśmy ten sam sposób postępywania, jaki przepisuje obowiązująca ustawa polowa w dziale IV. z dnia 17. lipca 1876 (Nr. 29. D. u. k.) Natura szkody w ziemiopłodach jest ta sama, czy ją wyrządzi zwierz domowy, czy dziki, zatem postępowanie przy jej ocenianiu i zasądzaniu odszkodowania, może być z ustawy polnej tu zastosowane. Okoliczność ta ułatwi stronom wszelkie dochodzenia i uwolni władze od konieczności stanowienia nowych organów i nowych przepisów dla dochodzenia i orzekania o szkodach przez polowanie lub zwierzynę wyrządzanych.

„Powołując się wreszcie na motywa nasze, przytoczone w sprawozdaniu z dnia 4. listopada r. 1887, opuszczenie ustępów niektórych z pierwotnego projektu ustawy, jak o dozorcach polowania i udzielaniu nagród za ubicie drapieżnej zwierzyny, usprawiedliwiamy tem, że nie znalazły one w dotyczących projektach rządowych i komisyi administracyjnej żadnego uwzględnienia.“

Samego projektu nie podajemy na razie. Czekamy, aż przyjdzie nareszcie pod obrady Sejmu i stanie się gotową ustawą.

KORESPONDENCYE.

Skała dnia 15. stycznia 1894.

(Kobieta jako myśliwy. — Łowy w lasach ordynacyi Skalskiej.)

Nie do mnie należy orzekać, czy kobiety naszych czasów stoją na wysokości swego zadania, jakie im jako żonom i matkom przypadło. Zdaje mi się jednak, iż to, co inni o kobietach powiedzieli, wolno mi powtórzyć, a mianowicie: że kobieta jest arcydziełem i koroną stworzenia, choćby tylko dlatego, że Stwórca, powoławszy kobietę do życia, zamknął długi szereg cudów i nie stworzył już nic doskonalszego.

Aby jednak być ścisłym i sprawiedliwym, muszę także choć półgębkiem wypowiedzieć, iż zdarzało mi się nieraz w życiu widzieć zamiast arcydzieła istną parodyę kobiety, wyposażoną zbytkiem brzydoty, co jednakże wypowiedzianemu na wstępie twierdzeniu nie uwłacza, gdyż wiadomo, że kontrast nietylko nie psuje, lecz owszem podnosi urok piękna.

Biorąc rzecz ze społecznego punktu widzenia, sądziłem dotychczas, iż najstosowniejszą i przez naturę wskazaną rolą dla kobiety w społeczeństwie, jest rząd domu, wychowanie dzieci i uprzyjemnianie mężczyźnie życia wśród trudów i walk. Ale skoro już kobieta postanowiła wkroczyć tu i owdzie w zakres działania mężczyzny, to niech mi wolno będzie zrobić skromną uwagę, że w takim razie powinna pamiętać przedewszystkiem o tem, iż przy dzisiejszej, tak szybko postępującej degeneracyi fizycznej człowieka, należy jej dbać o kształcenie własnego ciała, o zdolność pokonywania trudów i znoszenia wysileń, gdyż inaczej przyczyniałaby się sama najbardziej do zupełnego fizycznego zwyrodnienia ludzkości. Niech wszystkie kobiety starają się być zdrowe, silne i odważne, niech wychowują córki w ten sposób, aby się słońca, niepogody i fizycznych trudów nie obawiały, a dadzą nam najpewniejszą rękojmię, że nie zginiemy.

Lecz wybacz mi łaskawa czytelniczko, że jakoś mimowolnie, biegnąc w tropy za arcydziełem, zapędziłem się aż na pole społecznych rozumowań, na którem polować wcale nie mam gustu z tej prostej przyczyny, iż na tem polu wypadałoby strzelać nie śrutem i kulami, lecz argumentami coraz cięższego kalibru, a to rzecz nad siły zwykłego myśliwca. Zawracam tedy na miejscu i spieszę do kniei, prosząc, byście byli łaskawi pospieszyć wraz ze mną za kobietą, jako myśliwym.

Czytałem już parę razy w „Łowcu“ o dzielności myśliwych żeńskiego rodzaju, lecz nie przywiązywałem do tych wzmianek żadnej wagi, gdyż sądziłem, że dyktowała je kurtoazya mężczyzn, latynizujących uprzejmie szczegóły z odbytych tu i owdzie polowań. Lecz niedowiarek, przekonałem się dziś naocznie, że mogą być niezwykłe wyjątki, cofam tedy uroczyście moje dotychczasowe, niekorzystne mniemanie i zostaję na przyszłość z wszelką rewerencyą nietylko dla myśliwych męzkiego rodzaju, ale także i dla Nemrodów w damskim kostiumie.

Co do arcydzieł stworzenia, wahałem się wydawać sąd stanowczy, ale jako myśliwemu, który umie biegle czytać nuty, wypisane na śniegu przez dziki, sarny, lisy i zające, wolno mi przypisać sobie pewną kompetencyę w sprawach łowieckich i otóż na podstawie tej kompetencyi oświadczam stanowczo, że miałem sposobność zobaczyć arcydzieło myśliwstwa w postaci kobiecej. Było to na polowaniach w Skalskich kniejach, w których brała także udział hr. Starzeńska, zadziwiająca najwytrawniejszych łowców wyborną znajomością zwyczajów zwierzyny i biegłością w strzelaniu. Mógłby pani hrabinie niejeden bywalec łowów pozazdrościć zimnej krwi i precyzyi, z jaką strzał w strzał ubijała po cztery zające na jednem stanowisku, odwagi, z jaką strzeliła do dzika ogromnych rozmiarów, uderzającego z szybkością lokomotywy wprost na łańcuch strzelców. Przyznam się, że patrząc na to oniemiałem z podziwu, tembardziej, że mimo kompleksyi na pozór wątłej i delikatnej, odbywała z nami pani hrabina bez zmęczenia dalekie myśliwskie marsze pośród słoty, śniegu i błota pod nogami.

Polowania w Skale, w dobrach należących do ordynata hr. Agenora Gołuchowskiego, ambasadora austryackiego

w Rumunii, rozpoczęły się w listopadzie r. z. Zamknęły się one przeważnie w kółku familijnem, uczestniczyli w nich bowiem hr. hr. Agenor, Stanisław i Adam Gołuchowscy, oraz hr. Starzeńscy, a wyjątkowo tylko był na polowaniu rotmistrz dragonów, pan Józef Polo i właściciel Turylcza, pan Słonecki, przyczem i ja miałem zaszczyt brać udział parę razy.

Nie przypominam już sobie, którego dnia polowano w lasach Iwankowa, ale pamiętam, że jakoś dzień lub dwa dni przed polowaniem spadło trochę śniegu na niezamarzniętą jeszcze ziemię, tak, iż idąc, grzęzło się zarazem w śniegu i błocie. Przybyłem zawcześnie na punkt zborny w lesie koło wielkiego i bardzo starego buka, zwanego „Stanisław“, ale nie żałowałem pospiechu, gdyż zarządca lasów, pan Antoni Gotwald, zaprosił mnie do towarzystwa przy odczytywaniu nut, które dziki na śniegu, wchodząc i i wychodząc z miotu, w kilku miejscach na linii wypisały. Trudno było na pewne orzec, czy dziki w miocie zaległy, czy też poszły dalej. Ale Gotwald, to mistrz w tropieniu. Jak Indyanin, z pochylonych trawek, przewróconych liści i przygiętych na krzakach gałązek, potrafi na pewno orzec, jak dawno i jakiego rodzaju zwierzyna ten ślad zostawiła, tak i Gotwald dał sobie radę z tropami. Stanąwszy przy tropie i chcąc się lepiej przypatrzyć, wygiął się najprzód w formie pytajnika, następnie pochylił się tak, że głowa była w równem położeniu z kolanami, w końcu odstawiwszy prawą nogę w tył, jakby chciał przyklęknąć, pochylił się jeszcze bardziej, zdjął z prawej ręki rękawiczkę i wetknąwszy palce w środek wytłoków dziczych rapci, to podnosił się, to pochylał, jak gdyby decyfrował litery dziczego paszportu. Nareszcie podniósł się i stanąwszy twarzą do miotu, świdrował przez chwilę rozpościerającą się przed nami gąszcz krzaków, aż nakoniec, zwróciwszy się do mnie, zapytał:

— Lubeńko, ecetera siego (to jego przysłowie), a gdzie dziki?

— W miocie — odrzekłem — bo ten poszlak, przy którym stoimy, wydaje mi się być najświeższy.

— Tak! trzy sztuki! a jakże! — zakonkludował Gotwald z widocznem zadowoleniem, żem potwierdził jego domysł, — lecz którędy uderzą, he?!

Na to zagadnienie odparłem krótko: — Nie wiem.

Kategoryczna odpowiedź moja nie zadowolniła Gotwalda. Zamyślił się głęboko i dopiero po dłuższej chwili namysłu wydobył z kieszeni notatnik, a wydarłszy kartkę, zaczął na niej rysować jakieś geometryczne figury; mruczał przy tem sam do siebie: „Tam pole, więc tamtędy nie pójdą. Stąd nagonka ich nie puści. Na flance pobereźnik z trąbką ich odstraszy. A tu są barłogi — muszą więc uderzyć na linijkę. Psiakr...! a nuż nie uderzą?“

Skończywszy ten monolog, przyskoczył do mnie i znów zapytał podniesionym głosem:

— Którędy uderzą?!

— A czyż ja wiem? — odrzeknę — Nie znając położenia lasów, jakimże sposobem mogę się domyśleć, gdzie ma zwierz największą wagę? Zresztą chociażbym nawet znał lasy, to i wtedy nic stanowczego nie mógłbym powiedzieć, bo dziki, skoro raz jakiś kierunek do ucieczki obiorą, niczem się już powstrzymać nie dadzą.

— Ależ tu jest jak na talerzu! — krzyknął Gotwald, podsuwając mi przed oczy ową kartkę, na której były narysowane jakieś niezrozumiałe hieroglify. Dopiero objaśniając jeden znak za drugim, tak mi rzecz wytłumaczył:

— To jest pole, a tam dalej wieś ecetera siego. To jarek, przez który pójdzie nagonka. To pobereźnik z trąbką, który pójdzie flanką na 50 kroków przed nagonką. Ot! tu linijka, gdzie ustawię myśliwych. Za ich plecami, ot tędy! ciągnie się długi kompleks lasów, a tu! tu! tu! te dwa kółka, to barłogi, oddalone od linijki najdalej na ośmdziesiąt kroków. Więc którędy dziki uderzą? he?

— Przy takim składzie rzeczy — odpowiedziałem — jestem i ja tego zdania, że dziki wyruszone z barłogu, nim obiorą kierunek do ucieczki, posuną się o kilkadziesiąt kroków naprzód i muszą się pokazać myśliwym.

— A jakże! a jakże! — zawołał Gotwald. — Dalibóg, że pójdą na linijkę. Dlatego daję psiakr... parę rogów temu, kto mi wskaże najlepsze stanowisko dla hr. Stanisława i hr. Ordynata, na którychby musieli do dzika strzelać.

I rada w radę obmyśliliśmy stanowiska, i zaraz zakreśliliśmy je na bojowym planie Gotwalda. Za chwilę przybyli myśliwi. Gotwald zdał sprawę, gdzie dziki obległy, wydano dyspozycye dla nagonki i leśnych, i całe towarzystwo myśliwych ruszyło na stanowiska. Zaledwie wszyscy stanęli na stanowiskach, odezwało się hasło na trąbce i wnet rozpoczął się gon, a leśny, który flanką postępował, trąbił prawie nieustannie.

Kiedy nagonka przeszła już z połowę miotu, spojrzałem ku trzeciemu z rzędu stanowisku. Zajmowała je pani hrabina Starzeńska. Przechodziły obok niej zające, lecz na nie uwagi nie zwracała, zachowując zimną krew wytrawnego łowcy, gdyż było z góry powiedziane, że w tym miocie pierwszy strzał może być tylko do dzika.

W oczekiwaniu na pierwszy strzał przepuściłem i ja kilka zajęcy, ale w końcu zacząłem się niecierpliwić, bo nagonka zbliżała się już na jakie ośmdziesiąt kroków do linii, a mimo to, strzału nie było jeszcze słychać.

Nareszcie bach! rozległ się huk strzału na czwartem czy piątem stanowisku odemnie. Zwróciwszy wzrok w tę stronę, zobaczyłem ogromnego dzika w chwili, gdy przesadzał przez linię. Zmierzyła się wtedy pani hrabina Starzeńska i strzeliła do niego według wszelkich prawideł myśliwskich, lecz odległość na strzał celny była niestety zanadto wielką i dzik uszedł. W przeciwnym razie byłby pewnie na rozkładzie, gdyż widziałem zaraz w drugim miocie, jak hrabina strzeliła do zająca, którego chybiłem i zrulowała go na miejscu, pomimo, że szarak po moim strzale wyciągał skoki o ile mógł jak najdłużej.

Że w pierwszym miocie żaden dzik dobrze na strzał nie wyszedł, pochodzi stąd, że jeden z myśliwych, zwątpiwszy już o bytności dzików w miocie, strzelił do kozła właśnie w chwili, kiedy wszystkie trzy dziki stały przed nim w gąszczy. To też po strzale rozbryznęły się tak, iż tylko jeden przeszedł przez linię, gdzie stali myśliwi, drugi przebił się przez nagonkę, a trzeci niespostrzeżony przemknął bokiem do sąsiedniego miotu, skąd następnie, wypadłszy całkiem niespodzianie, został także chybiony.

Będąc na polowaniu, trudno nie zwrócić uwagi i na stan zwierzyny. Jak na stosunki niekorzystne, panujące w pogranicznym pasie kraju, gdzie zwierzyny trudno się dochować, jest on w Skalskich kniejach świetny, o czem niech da dowód okoliczność, że w niektórych miotach widziałem na własne oczy po kilka sztuk zajęcy, idących razem, niby stadko sarn, jeden tuż przy drugim.

Ilości ubitej zwierzyny nie mogę dokładnie podać, gdyż nie brałem udziału we wszystkich polowaniach. O ile jednak wiem, padło w ciągu sezonu letniego i jesiennego: 6 kozłów, lis, 160 zajęcy, 10 słonek, 200 przepiórek i kilkanaście chruścieli. Nadto padło w dobrach Adama hr.

Gołuchowskiego, w Husiatynie i Szuparce, około 100 sztuk zajęcy, dwa kozły i 6 lub 8 lisów.

Szkoda wielka, że w tutejszych okolicach nie ma wcale kuropatw, ale jest nadzieja, że będą, jak tylko pozakładane w kilku miejscach bardzo piękne remizy dostatecznie podrosną.

Seweryn Kisielewski.

Stanisławów dnia 25. stycznia 1894.

(Wiwat wystawa!)

Obowiązkiem każdego myśliwego jest według sił i możności przyczynić się do wzbogacenia i uświetnienia oddziału łowieckiego na wystawie krajowej b. r., co też „Łowiec“ kilkakrotnie drużynie myśliwskiej przypomniał. Jak już przedtem doniosłem, widziano od trzech lat w rewirze korszowskim piękną srokatą sarnę, i marzeniem mojem, jako też najgorętszem życzeniem istniejącego tu kółka łowieckiego było, nadzwyczajnym tym okazem wystawę naszą wzbogacić.

Rewir korszowski obejmuje około 3.000 morgów obszaru, w którym rocznie zaledwie w $^2/_3$ częściach polowania się odbywają. Polowań w sezonie (dni) jest zwykle 5, najczęściej tylko w sześć strzelb, tak, że myśliwi stoją zwykle na stanowiskach od siebie na 200—300 kroków oddalonych, a dalekie i trudne strzały, często przy pomocy expressa, są tu na porządku dziennym.

Urzeczywistnienie więc mego marzenia było nadzwyczaj trudnem i nieprawdopodobnem, tem bardziej, że sarnę tę już w bieżącym roku widziałem w przejeździe z wagonu kolei pasącą się z innemi sarnami na oziminie obok sąsiedniego lasu kamioneckiego. Straż tutejsza już dawno jej w lesie korszowskim nie widziała. Było więc prawdopodobnem, że sarna ta zmieniła miejsce stałego pobytu i przeszła w las kamionecki, który znany jest jako matnia rodu sarniego. Nie traciłem jednak nadziei, a wiedziony szczęśliwem przeczuciem, zapowiedziałem na polowaniu w Korszowie dnia 22. b. m. moim towarzyszom żartem miot i miejsce, w którem się srokatej siuty spodziewałem. Stanąłem na tem samem stanowisku, na którem ją przed rokiem widziałem. I któż opisze moje zdziwienie i radość, gdy ujrzałem w kilka minut po rozpoczęciu gonu zbliżające się do mnie dwie sarny, z których jedna była srokatą jak jałówka tyrolska! Stanęły przedemną w rzadkim lesie na kilkaset kroków, tak, że grube drzewo, za którem siedziałem, widok ich zupełnie mi zasłoniło. Serce biło mi jak młotem. Doznałem tak miłego myśliwskiego wzruszenia, że z pewnością i stado dzików byłoby mi go nie wywołało. Siedziałem bez najmniejszego ruchu, jak skamieniały. Trwało to dobrych 10 minut. Sarn nie widziałem zupełnie, słyszałem jednak, że się zbliżają. Wtem wysunęły się w bok po za moje drzewo, ujrzały mnie i stanęły jak wryte w odległości 80 kroków. Strzał dyabelnie niepewny! Nie ma jednak nadziei, żeby przyszły bliżej, bo zwróciły do mnie główki i obserwują mnie. Strzał taki już mi się w życiu nie przytrafi.

Wszystkie te refleksye i rozumowania trwały jedną sekundę. Złożyłem się i palnąłem z lufki grubym sarniakiem. Sarna po strzale dała w górę sążnistego susa, i z niesłychaną chyżością okrążyła mnie wielkim łukiem. Strzeliłem drugi raz po za linię na 70 kroków. Po tym strzale koza w ogromnym salto mortale na miejscu zrulowała. Niewymownie uradowany rzuciłem czapkę w górę i wielkim głosem zawołałem: „Wiwat wystawa!“ Sąsiedzi moi, znając moją ostrożność i ścisłe przestrzeganie regulaminu, a nie wiedząc o co chodzi, myśleli, że upolowałem „bzika“!

W tej chwili szedł mi zajączek pod lufę. Nie włożywszy z wielkiej radości ładunków, dałem temu maleńkiemu wspaniałomyślnie amnestyę, i pobiegłem przed ukończeniem gonu do zdobyczy. Koza ta — istne cudo i wybryk natury — którego dotychczas sobie wytłómaczyć nie mogłem, jest prześliczną. Czoło, mordka, podgarle, szyja jako też wszystkie cztery badyle po kolana wraz z kopytkami śnieżno-białe, po całym korpusie takież białe plamy, wielkości dłoni, symetrycznie ułożone, jedno oko rybie; całość jakby malowana i prześliczna; wątpię, czy jakie muzeum w świecie egzemplarz taki posiada, i czy jaka wystawa takim okazem poszczycić się mogła. Pierwszy strzał z prawej strony dostała poniżej grzbietu przeważnie w miękusz. Drugi strzał z lewej strony w szyję był śmiertelny. Jakże żałuję, że dla honoru wystawy po raz pierwszy w życiu musiałem postąpić wbrew ustawie łowieckiej! Z kozą tą szedł piękny, wielki rogacz, który tylko nadobnej żonce życie swe zawdzięcza. Ubita tyrolka miała 4 lata, nigdzie jednak nie widziano tu młodych, podobnych sztuk; najprawdopodobniej nie miała ona potomstwa. Kozę posłałem natychmiast do pana Zontaka, a właścicielka Korszowa, p. Krzeczunowiczowa, ma zamiar okaz ten piękny po wystawie ofiarować do muzeum hr. Dzieduszyckiego.

Na polowaniu tem padło w Korszowie w 6 strzelb: 4 kozły, 4 lisy, 33 zajęcy, cietrzew i jarząbek. Było to zarazem ostatnie polowanie naszego Kółka łowieckiego. Królem sezonu 1893/4 był p. rotmistrz Franciszek Piechowski, który według statutu wygrał piękną myśliwską premię. Za każdy strzał chybiony płacimy kary, za postrzelenie kary podwójne, za trupa, lub za strzały mistrzowskie dostajemy nagrody — i mamy tu wcale ciekawy i oryginalny regulamin łowiecki — ale o tem później, w sezonie ogórkowym.

Józef Łysakowski.

Warszawa 15. stycznia.

(Towarzystwo myśliwskie.)

Dnia 10. stycznia odbyło się tu walne zgromadzenie Towarzystwa racyonalnego polowania. Ze sprawozdania dowiadujemy się, że liczba członków Towarzystwa dochodzi już do tysiąca.

Nieopatrzna gospodarka, trwająca przez lat parę od założenia Towarzystwa, poczyniła takie szczerby w równowadze finansowej tej instytucyi, że potrzeba lat parę, jeżeli nie kilka, aby te szczerby wyrównać, wygładzić i zrzucić z siebie okowy materyalnej niemocy, krępujące szerszą działalność. To też przy rozprawach nad poruszonemi w sprawozdaniu kwestyami finansowemi wyłoniła się różnica zapatrywań między radą zarządzającą a komisyą rewizyjną.

Komisya była zdania, iż należy zmniejszyć koszta administracyjne, nadto skasować hodowlę psów, zbyt wielkiego wymagającą nakładu, zaniechać również dzierżawy polowań, gdyż grunta wydzierżawione albo zbyt są odległe, albo zbyt mało obfitują w zwierzynę; wreszcie komisya przemawiała za oddzieleniem wydziału ochrony i polowań od rady.

Na wszystkie te punkty odpowiadała rada zarządzająca. Odłączenie wydziału ochrony i polowania zdaniem jej zaszkodziłoby tylko jednolitości w działaniach zarządu, skoro zaś instrukcya dla wydziału rzeczonego nie jest dość jasną, należy ją dokładniej opracować. Z porównania wydatków na administracyę resurs, istniejących w Warszawie, rada wypowiedziała wniosek, iż rządzi bez zbytniego szafowania groszem. Na skasowanie hodowli psów rada zgodziła się w zupełności.

Zebranie ogólne zgodziło się na wszystkie poglądy rady. Z uwagi, iż psiarnia zarodowa nie udała się Towarzystwu i przynosi rokrocznie poważne, jak na obecny stan finansów, straty, postanowiono ją znieść, a znajdujące się w niej obecnie psy rozprzedać pomiędzy członków przez licytacyę, której warunki będą ogłoszone. Co do polowań wyrażono znowu życzenie, ażeby nadal utrzymane zostało wydzierżawianie polowań, zwłaszcza, iż niezmiernie niska cena czyni je wielce pożądanemi, pomimo pewnych wadliwości.

Na wniosek rady, ogólne zebranie złożyło podziękowanie za wzorowe prowadzenie gospodarstwa łowieckiego następującym członkom: hr. Janowi Zamoyskiemu z Podzamcza, hr. Augustowi Zamoyskiemu z Włodawy, p. Adolfowi Rakowskiemu ze Starej Wsi, ks. Stefanowi Lubomirskiemu z Kruszyny i hr. Branickiemu z Wilanowa.

W końcu przystąpiono do wyboru rady Towarzystwa. Wybrani zostali: hr. Ksawery Branicki, hr. Henryk Bruining, margrabia Zygmunt Wielopolski, jenerał Wojde, hr. Aleksander Toll, jenerał Palicyn, Ignacy Chmielewski, Mikołaj Blumental, hr. Gustaw Łubieński i K. Kulikowski.

W.

Sprawozdania łowieckie

Z Galicyi.

— W Gumniskach, u ks. marszałka Sanguszki, odbyło się kilka polowań, na których padło 10 rogaczy i 206 zajęcy.

— W Germakówce, u Władysława hr. Baworowskiego, odbyło się w dniach 2., 3., 4. i 5. stycznia b. r. polowanie, na którem w dziesięć strzelb padło: 13 dzików, 6 rogaczy, 7 lisów i 502 zajęcy. Dodać należy, że mogło paść o wiele więcej zwierzyny, ale z powodu wielkiego zimna, strzelanie było bardzo utrudnione.

— W Weryni, w lasach hr. Zdzisława Tyszkiewicza, odbyło się w dniach 29. i 30. grudnia z. r. polowanie, na którem w dziesięć strzelb ubito 11 rogaczy, 6 lisów, 3 kuropatwy i 380 zajęcy. Jestto rezultat na tutejszą okolicę nader korzystny, a zawdzięczyć go należy racyonalnej hodowli zwierza łownego i wzorowej organizacyi służby lasowej.

— W Wysuczce, u ordynata T. Czarkowskiego-Golejewskiego, polowano w dziesięć strzelb przez pięć dni i ubito 4 dziki, 14 lisów, 17 rogaczy i 238 zajęcy. Gospodarz podejmował bardzo gościnnie myśliwych, między którymi byli pp. W. Korytowski, hr. Leopołd Starzyński, Władysław i Kazimierz Przybysławscy, Leon i Franciszek Horodyscy, dr. Henryk Szydłowski, Edmund Pietruski, Bielański, Aleksander Krzeczunowicz i Antoni Czarkowski.

— W Medenicach, w lasach, należących do pp. Frenklów i Kolischerów, odbyło się w dniach 19. i 20. stycznia polowanie, w którem brali udział arcyks. Leopold Salwator, ochmistrz baron Lazarini, pułkownik brygadier Teinzman, podpułkownik Glas, major Wurm, rotmistrz Marglowski, podporucznicy Kögel i Wieden, gospodarz polowania p. Józef Frenkl, dalej panowie: Piegłowski, Dziubiński, Smutny, Fellner i Firlej. Ubito 2 dziki, 40 zajęcy, 6 kozłów, 6 lisów, Arcyksiążę skłuł przed psami bez strzału dzika, ubił 7 zajęcy i lisa.

— W Zbylitowskiej górze, w lasach Szczepanowskich, należących do p. Stanisława Żaby, ubito na polowaniu dwa odyńce. Jednego, 12-letniego olbrzymich rozmiarów, ubił pułkownik drugiego pułku ułanów bar. Malowetz. Sam łeb odyńca, wysłany do wypchania, ważył 60 funtów.

— W Żukowie, majętności p. Antoniego Theodorowicza, w powiecie horodeńskim, polowaliśmy w d. 15 i 16. stycznia w dwadzieściajeden strzelb. Mimo, iż rok ubiegły był z powodu wylewów i długotrwałej słoty dla rozmnoży zajęcy bardzo niekorzystuym, knieja żukowska nie zawiodła naszych oczekiwań, a strzały padały tak gęsto, że wcale nie zauważano braku zajęcy, który w bieżącym sezonie we wszystkich niemal kniejach okolicznych aż nadto stał się widocznym. Stan sarn był i jest świetny, dzięki troskliwej i umiejętnej opiece, jaką je szanowny gospodarz otacza. Wynik polowania był następujący: na 312 strzałów ubito 98 zajęcy, 16 rogaczy i 3 lisy. Brakło tylko na rozkładzie dzików, choć i te były, lecz niestety wyniosły się z miotu bez strzału. *Leopold Łysakowski.*

— W Lataczu, u p. Wład. Krasnopolskiego, na polowaniu odbytem w dwadzieścia strzelb, ubito 6 dzików, 7 rogaczy i 75 zajęcy.

— W Pacykowie, u p. Brykczyńskiego, na polowaniu, które się odbyło d. 26. stycznia, padł ryś (samica) na 110 cm. długa a 58 cm. wysoka. Jestto już piąty z rzędu ryś, który w ciągu roku padł w tamtejszych okolicach.

— W Izydorówce, u hr. K. Dzieduszyckiego, padło na polowaniu 9 rogaczy i 30 zajęcy.

— W Daszawie pod Stryjem, własności p. Sozańskiej, polowano w dwadzieścia strzelb przez dwa dni i ubito 5 dzików, 19 rogaczy i 24 zajęcy.

— W Chwałowicach nad Sanem, u bar. Horocha, na polowaniu w ośm strzelb ubito 2 rogacze i 20 zajęcy.

Z Królestwa polskiego.

— W Psarach u hr. M. Łubieńskiego odbyło się polowanie w dniu 19. grudnia z. r. W siedmnaście strzelb ubito 164 zajęcy i 16 kozłów. Knieje Psarskie obfitują w znaczną ilość sarn. Z chwilą ruszenia nagonki, ukazało się trzydzieścikilka kóz, które nie mogąc się przedrzeć ani przez nagonkę, ani przez linię strzelców, długi czas rzucały się po miocie, dopóki nie przedostały się w głąb kniei.

— W Garnku (gub. piotrkowskiej) u p. Moraczewskiego, polowano dnia 11. i 12. grudnia w dwanaście strzelb. Na rozkładzie naliczono 238 zajęcy, 8 rogaczy i 2 lisy. Skonstatowano znaczne zwiększenie się ilości zajęcy w porównaniu z poprzednim rokiem.

— W Marchwaczu (gub. kaliskiej), u p. Wacława Niemojowskiego, polowano dnia 16. grudnia z. r. z nagonką w dziesięć strzelb i ubito 228 zajęcy, 1 kozła i 6 bażantów. Przed kilku laty w Marchwaczu zwierzyna była niezmiernie wyniszczona, dwuletnia jednak racyonalna gospodarka łowiecka p. Niemojowskiego, poprawiła zwierzostan znacznie.

— W Silnicy (pow. noworadomski), u p. Karola Siemieńskiego, na dwudniowem polowaniu w d. 18. i 19. grudnia padło 103 zające, 9 kozłów i 1 lis.

— W Białaczewie, w dobrach hr. Ludwika Platera, odbyło się polowanie, na którem ubito 430 zajęcy Było to najświetniejsze polowanie w całym powiecie. Królem polowania był Zygmunt hr. Plater. Jeszcze pzzed laty czterema na polowaniu w Białaczewie zabito zaledwie 28 zajęcy, rezultat łowów tegorocznych daje więc wymowne świadectwo korzyści z racyonalnej ochrony zwierzyny.

— W Skępem, na polowaniu u pp. Zielińskich, ubito w ciągu trzech dni 13 kozłów i 566 zajęcy. W polowaniu wzięli udział: August hr. Potocki, Gustaw hr. Łubieński, Czesław Hornowski, Leopold Kronenberg, St. Rzewuski, W Reszke i trzech gospodarzy.

— W Złotnikach małych (w gub. kaliskiej), u p. Zygmunta Dorochowskiego odbyło się d. 3. stycznia polowanie, na którem w piętnaście strzelb ubito rogacza, 145 zajęcy i kilka sztuk ptactwa.

— W Kozłowie (pow. sochaczewski), u p. Lucyana Suskiego, odbyło się polowanie kociołkowe w szesnaście strzelb na polach, na przestrzeni około 60 włók. Ubito 114 zajęcy i 8 kuropatw.

— W Podzameczu, w lasach należących do dóbr hr. Zamoyskich, padło w tegorocznym sezonie łowieckim 3 dziki, 14 rogaczy, 6 lisów i około 800 zajęcy.

— W Mycielinie (w kaliskiem), na polowaniu odbytem d. 10. stycznia, ubito 5 rogaczy i 108 zajęcy.

— W okolicy Kalisza, jak o tem donosi „Gazeta „Kaliska", ubitą zoztała w b. sezonie łowieckim znaczna ilość zwierzyny, a mianowicie: w Szczypiornie w polach ubito zajęcy 76; w Jarantowie w lesie i w polu ubito zajęcy 135 i cietrzewia; w Brudzewie w lesie ubito 70 zajęcy, trzy lisy i trzy sarny; w Zborowie w polach ubito zajęcy 84; w Majkowie w polach padło zajęcy 138; w Kalinowie za Błaszkami w polach ubito 105 zajęcy, tamże na Kobierzycku w polach ubito 105 zajęcy. Przy samym końcu miesiąca grudnia w Masłowicach w pow. wieluńskim w lesie i w polu ubito 152 zajęcy; w Starzenicach 33 zajęcy, przeważnie w lesie. Wszędzie też strzelano do kuropatw. Nigdzie polowanie nie trwało dłużej nad dzień jeden. Zające sprzedawano do Kalisza i do Łodzi po cenie 75—80 kopiejek.

Z Wołynia.

— W Antoninach, majątku hr. Józefa Potockiego, który obecnie podróżuje po Egipcie, odbywały się polowania par force przez całą jesień. Psiarnia, zostająca pod dowództwem wytrawnego huntsmana p. Pilota, wzięła czterdzieści zajęcy i dwa daniele. Jestto rezultat, świadczący o wybornym doborze i znakomitem ułożeniu psów.

— W Szepetowieckich lasach, należących również do hr. Józefa Potockiego, odbyły się w tym sezonie dwa duże polowania. Dnia 15. grudnia polowano w sześć strzelb i w przeciągu czterech godzin ubito 6 dzików, rogacza, lisa i zająca. Sam hr. J. Potocki położył trzy dziki i lisa.

— W Lubaczówce, dobrach księcia Janusza Czetwertyńskiego, polowano dnia 28. grudnia w pięć strzelb i ubito 43 zające i 2 lisy. Dziki, które do niedawna stanowiły główną atrakcyę tego polowania i których corocznie kilka sztuk padało, czy to skutkiem wyrąbania sąsiednich lasów, czy też innych jakich niezbadanych powodów — opuściły, zdaje się bezpowrotnie, urocze brzegi Styru, by cofnąć się w okolice, bardziej przez siekierę oszczędzane. Sarny, dla polepszenia na przyszłość zwierzostanu, dotąd są oszczędzane, tak, że myśliwym do strzału pozostały tylko niewinne szaraki i lisy.

Z Wielkopolski.

— W Dobrojewie, u hr. Stefana Kwileckiego, na polowaniu kociołkowem, które się odbyło dnia 28. grudnia r. z., ubito 2 rogacze i 710 zajęcy.

— W Stajkowie, majętności p. Stefana Raczyńskiego, polowano w ośm strzelb przez dwa dni i ubito 3 rogacze, lisa, 372 zajęcy, 8 bażantów i 4 cietrzewie.

— W Bolechowie, majętności p. dr. Tad. Szuldrzyńsktego, ubito w 5 strzelb 292 zajęcy i 2 rogacze.

KRONIKA.

Nowy pas do broni. P. Edward Henryk Sulikowski z Warszawy skonstruował pas skórzany do strzelby, który się cieszy powszechnem uznaniem myśliwych w kraju i za granicą i posiada w istocie zalety, zasługujące na uwagę. W pismach myśliwskich niemieckich znalazł on rozgłos niezwykły, a w skutek tego i popyt między myśliwymi. P. Sulikowski tak opisuje pas swego pomysłu i jego zalety:

„Przy użyciu do tej pory pasa zwykłej konstrukcyi, przy broni myśliwskiej, pelujący przymuszonym jest nosić takową bądź to przewieszoną przez plecy, lub też ciągle trzymać ją w rękach. W pierwszym wypadku, myśliwy pozbawionym jest możności dania prędkiego strzału, ponieważ dla zdjęcia broni z pleców potrzebuje około pół minuty czasu, przyczem pospiech przy tej operacyi pociąga często za sobą nieszczęśliwe wypadki; w drugim razie, przy ciągłem noszeniu broni w rękach, niewygodnem podczas polowania np. zimą, na polu śliskiem, podorkach, lub też błotach, bagnach, gdzie bardzo jest pożądanem mieć wolne i swobodne ręce, nieszczęśliwy wypadek łatwo również może nastąpić, czy to w skutek nabrania śniegu lub wody w lufy, czy też w skutek pośliźnięcia i upadku, przy czem ręce pomimo woli chwytają za kurki.

„Pas mojej konstrukcyi posiada następujące przymioty:

1. Usuwa w zupełności konieczność noszenia broni na plecach i zdejmowania takowej dla strzału wraz z pasem.

2. Trzymając na pasie moim broń na piersiach do góry lufą przed sobą, myśliwy jest w stanie dać strzał, nie będąc do tego nawet najmniej przygotowanym, w ciągu 1 do 2 sekund, przy czem pas pozostając nieruchomo przewieszonym przez piersi, nie powiększa wagi fuzyi.

3. Usuwa konieczność noszenia broni w rękach, nie wyłączając jednocześnie możności dania natychmiastowego strzału, niemożliwego dotąd, przy pasie obecnie używanym.

4. Ochrania od nieszczęśliwych wypadkowych strzałów, nierozłącznych przy szybkiem zdejmowaniu broni z pleców i noszeniu takowej w rękach.

5. Jest nader dogodnym do polowania podjazdowego z konia, np. na dropie, dzikie gęsi, żórawie i t. p.

6. Służy również w razie potrzeby do noszenia fuzyi przez plecy w czasie pochodu lub zbierania się na miejsce polowania".

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się w ubiegłym miesiącu na polowaniu w Myszkowie u p. Maryana Kęplicza. W skutek przeniesienia starosty Lachowskiego z Zaleszczyk do Limanowy, p. Kęplicz dawał polowanie na pożegnanie starosty. I na tem polowaniu nieszczęście chciało, iż p. starosta postrzelił w kolano dra Jodłowskiego.

Na łowy. Przez Warszawę przejeżdżało przed kilkunastu dniami pięciu sportsmenów angielskich, mianowicie panowie: Defrey, bracia Geensborugh, Modly i Shaw, zaproszonych na polowanie do dóbr Niezdany w gubernii mohylewskiej, należących do bawiącego stale nad Tamizą p. St. Juszczewskiego. Nemrodzi, oprócz służby, wieźli z sobą psy ułożone specyalnie do zapasów ze zwierzyną grubą. Gościom towarzyszył gospodarz, umyślnie powracający do kraju na owo polowanie. Jaki jest wynik łowów, nie wiadomo.

Osobliwszy połów. Jeden z wiedeńskich amatorów rybołostwa, zajęty w przeszłym miesiącu połowem szczupaków na wędkę w zatoce dawnego koryta Dunaju, upolował niechcący osobliwszego ptaka. Zarzuciwszy trzy silne wędki, zauważył nad wieczorem około godziny 4. po poł., iż w pewnej odległości wynurza się co chwilę z wody i znowu w niej się pogrąża jakiś spory ptak wodny z rodzaju nurków, szukając widocznie pożywienia. Po pewnym czasie ptak wynurzył się nagle w pobliżu zarzuconych wędek i zniknął niebawem. Równocześnie p. M. zauważył silne szarpnięcie jednej z wędek. W przypuszczeniu, iż ma u haczyka porządnego szczupaka, zajął się ostrożnie wydobyciem zdobyczy, jakież jednak było jego zdziwienie, gdy z wody wynurzył się wreszcie, stawiając silny opór, ów ptak nieznany. Był to nur polarny (*Colymbus arcticus),* który zginął na haczyku rybaka wiedeńskiego.

Zwierzyniec szacha. Z polecenia szacha perskiego został w Teheranie urządzony zwierzyniec na wzór pierwszorzędnych zwierzyńców europejskich. Do zwierzyńca tego sprowadzają zwierzynę łowną z Europy w celach aklimatyzacyi. W ostatnich czasach wysłano tam rozmaitą zwierzynę z Austryi. Handel zwierząt łownych Karola Gudery w Wiedniu otrzymał polecenie dostarczania znaczniejszych transportów żywych zwierząt. W listopadzie r. z. wysłał p. Gudera sto silnych egzemplarzy kuropatw i 25 bażantów, które wyekwipowano na daleką podróż w specyalnie na to urządzonych koszach, zaopatrzonych w żywność.

Tenże sam wiedeński handel zwierzyny zajmuje się także znaczniejszemi wysyłkami żywych zajęcy do Persyi, a nadto do Ameryki, Francyi i Belgii. Ostatnie przesyłki zajęcy austryackich powędrowały do lasów księcia Torlonia we Włoszech i do Danii. Również Bawarya zamówiła znaczniejszą ilość samców, ażeby krew zwyrodniałego rodu zajęczego tamtych kniei odświeżyć. Do wyłapywania zajęcy żywych używa p. Gudera długich płotków z sieci, ustawionych w podkowę, ku której nagonka pędzi szaraki. Zaplątanego w sieci zająca pakuje się do worka i już jest gotowym do podróży.

Ceny zwierząt. Firma Hagenbeka w Hamburgu, trudniąca się jak wiadomo, dostawą zwierząt egzotycznych do ogrodów zoologicznych całego świata, ogłosiła niedawno cennik swych towarów. Okazuje się z tego cennika, że porządny hipopotam kosztuje na miejscu w Hamburgu 25,000 marek, tapir indyjski 12.500 marek, lew średniej wielkości 5.000, słoń od 6.000 do 12.000 m. Węże spadły w cenie; te, za które niegdyś płacono 150 do 250 m., dostać można obecnie za 50 m. Pantera 1.000 do 1.500 marek, niedźwiedź biały mniej więcej 1.000 m., tygrys 3 do 4.000 m. Najdroższem zaś zwierzęciem menażeryjnem jest w chwili obecnej żyrafa. Firma ma tylko jeden okaz do sprzedania za pokaźną kwotę 27.000 marek.

Handel rakami. „Pet. List.“ zaznacza, iż z powodu zwiększającego się z każdym rokiem wywozu za granicę raków z miejscowości w obrębie kolei Południowo-Zachodnich w Rossyi położonych, zarząd tychże kolei, pragnąc rozwinąć ten wywóz, przystąpił do budowy w swych warsztatach 12 wagonów, przyrządzonych wyłącznie do przewożenia raków. Według wykazów statystycznych, zebranych przez rzeczony zarząd w ciągu r. b., (wiosna, lato i jesień) wywieziono raków: przez Reni 15 tysięcy pudów, przez Wołoczyska i Radziwiłłów 8 tysięcy i przez Grajewo do Francyi 12 tysięcy pudów. Cena raków za granicą jest bardzo wysoką. Za wagon, mieszczący 10 tysięcy kilogramów, płacą we Francyi 40 tysięcy franków.

Zatrute ziarna. Nieprzyjacielem kuropatw i innego myśliwskiego ptactwa są ziarna pszenicy, którą rolnik, w celu zniszczenia zarodników rdzy i innych mikroskopowych grzybków, w roztworze siarkanu miedziowego moczy. Znajdywano już martwe kuropatwy i gołębie, z bajcowanem w ten sposób ziarnem w wolach, które były powodem zatrucia. Gdy zaś z drugiej strony walka z roślinnemi szkodnikami pszenicy za pomocą siarkanu miedzi jest nieunikniona, zależy zatem szukać środka, ażeby i pszenicę od szkodliwych grzybków uwolnić i mimowolnej trutki na kuropatwy nie nastawiać. Środek ów polega na tem, ażeby pszenicę zabajcowaną, przed wysianem jej w polu, czystą wodą z bajcy wypłukać, jest bowiem rzeczą pewną, że leżenie pszenicy przez 12 do 18 godzin w roztworze siarkanu miedziowego wystarcza, ażeby zarodniki grzybków zniszczyć i następne wypłukanie jej nie usuwa zbawiennych skutków owego zniszczenia, a odejmuje ziarnom własność trującą.

Mała niestrawność stała się powodem zgonu olbrzymiego słonia „Zipa“, ozdoby londyńskiego ogrodu zoologicznego. Oto przy sekcyi słonia znaleziono w żołądku jego... łańcuch na 4 stopy długi i ważący 90 funtów!

Gniew małpy. Profesor uniwersytetu genueńskiego, Ceci, korzystając z ostatnich feryj świątecznych, wybrał się na wycieczkę naukową do miasteczka górskiego, Castillacio. Miał tam zabawić dwa dni. Będąc już jednak na miejscu, przypomniał sobie, iż wprawdzie zamknął mieszkanie swoje w pałacu Canevuri, przy Piazza Brignole, pozostawił w niem jednak bez żadnego dozoru ulubioną małpę, znaną z wielu ucieszných figli. Zaniepokony, postanawia skrócić pobyt w Castillacio i wraca wieczorem — zapóźno już jednak dla przebłagania gniewu opuszczonej ulubienicy. O ile się zdaje, małpa rozgniewana, iż nikt się nią nie zajmuje, poczęła z nudów obchodzić wszystkie pokoje, zwłaszcza że doskonale umiała drzwi otwierać. W sypialnym pokoju profesora natrafiła na paczkę zapałek, poczęła je więc kolejno zapalać i rzucać przed siebie. Jedna z zapałek padła na łóżko i zajęła się pościel. Wszczął się pożar, który przez okno dostrzegli sąsiedzi i zaalarmowali straż ogniową. Drzwi wyważono i pierwszy wkroczył naczelnik straży, kapitan Mantello. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy uczuł, iż ktoś ciska w niego jakiemiś przedmiotami. To rozgniewana małpa przyjmowała go tak niegościnnie, miotając w niego wszystkie znajdujące się na toalecie przedmioty, jak mydła, szczotki, grzebienie, a wreszcie i zegar budzik. Na szczęście jednak udało mu się umknąć przed temi ciosami, poczem pod jego kierunkiem pożar został niebawem stłumiony, a małpa, korzystając z dymu i zamieszania, uciekła bez śladu. Profesor Ceci, wróciwszy wieczorem, zastał zrujnowane mieszkanie, więcej atoli, niż spalonych mebli, żałuje swej ulubienicy.

Także ustawa łowiecka. W „Zagłobie“, wesołem piśmie satyrycznem, które z początkiem b. r. zaczęło we Lwowie wychodzić, znajdujemy następujący projekt ustawy łowieckiej:

Ustawa łowiecka dla królestwa Golicyi i Głodomeryi z Wielkiem Niedołęztwem Krakowskiem.

§. 1. Każdemu wolno polować, jeśli tylko ma co do upolowania i jeśli go nie przyłapią między płotkami paragrafów ustawy karnej.

§. 2. Do zwierzyny łowieckiej należą: stare bogate ciocie (*Tanta pecunialis*), posażne panny (*Gallinula hypothecarum*), wujaszek amerykański (*Dollarus americanus*) i inne tym podobne stworzenia, dobrze tłuszczem oblane, a przeznaczone na pieczyste dla birbantów, ubogich kuzynków i innych tym podobnych utracyuszów.

§. 3. Na posażne jedynaczki wyżej dwa kroć sto tysięcy koron, bez względu na pochodzenie wschodnie czy zachodnie, wolno polować tylko zbankrutowanym hrabiczom dla podreperowania nazwiska i sytuacyi w towarzystwie.

§. 4. Zwierzęta szkodliwe, jako to: lichwiarzy z Zarwanicy, bankierów z zaprotestowanymi wekslami, adwokatów licytujących ruchomości i inne tym podobne bestye wolno każdemu na swym gruncie ubijać.

§. 5. Zwierzęta, wystawione najbardziej na zagładę, jak dyurniści, belferowie ludowi, suplenci i inna tego rodzaju chudzizna, ma być w kniejach ochraniana. Należy jej porą zimową wywozić karmę i rozstawiać w tryzubach, oraz urządzać lizawki, żeby im się zdawało, że są syci.

§. 6. Pijaków, pieczeniarzy, pochlebców, plotkarzy, antyszambrowców i inne ptactwo błotne, wolno strzelać na ciągu i tym sposobem uwalniać od nich ludzkość.

§. 7. Szczególniej ładne okazy zwierzyny szkodliwej, jak np. egzekutorowie podatkowi, ajenci brazylijscy, kolektanci loteryjni i t. p.; mają być wypychani, lakierowani, i w gablotkach ustawiani, żeby ich każdy łatwo mógł znać i unikać.

§. 8. Wykonanie niniejszej ustawy porucza się Ministerstwu Zdrowego rozsądku w porozumieniu z Ministerstwem od śmieci społecznych.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.